Zet
sztuka kultura
sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 4 (52)

WARSZAWA, DNIA 15 MAJA 1934 R.

CENA 50 GR.

Miljon koszul w poszukiwaniu wodza

Czarne koszule... Brązowe koszule... Niebieskie koszule... Jasne koszule... Zaroiło się na ulicach miast europejskich od zadzierzystych młodzieńców, strojnych w symboliczne kolory i maszerujących na oślep w karnym ordynku na ratunek ginącemu światu. Snadź psychoza ratownicza, o której pisaliśmy kiedyś w „Zecie", wezbrała jak powódź w duszach ludzkich, snadź świadomość katastroficzna narasta wszędzie z piorunującą szybkością. Kolorowe koszule wytryskują jak z pod ziemi we wszystkich krajach Europy. Czy widzieć w tem mamy istotnie jakiś emblemat ocalenia, czy też jeszcze jeden przypływ masowej aberacji, przypływ, jakich ludzkość ostatnich dziesięcioleci oglądała już wiele?...

Problem ubierania kolorowych koszul i wychodzenia w nich na ulice sfermentowanych kryzysem stolic, jest niewątpliwie dość skomplikowany, jednakowoż komplikacja to raczej natury psychologicznej niż ideologicznej. Narody wciąż jeszcze nie są dojrzałe do roli, jaką wyznacza im dziś — po dwutysiącletniem przeszkoleniu ery chrześcijańskiej — surowa mistrzyni-historja. Nie lubią niestety myśleć, wolą gry i zabawy dziecinne.

Emblematy tego typu, co brązowe lub niebieskie koszule, mają to do siebie, że zwalniają od odpowiedzialności i od myślenia. Ludzie, których psychoza ratownicza, emocje kryzysowe i temperamenty polityczne pchają do czynnego uczestnictwa w renowacji popsutej machiny świata, byliby w wielkim kłopocie, nie wiedzieliby poprostu gdzie iść, co czynić, gdyby pomysłowe głowy Mussoliniego i Hitlera nie wymyśliły tej zbawczej namiastki. I dziś, w epoce, gdy ludzkość umiera na niedorozwój rozumu czy też poprostu na *odczłowieczenie*, gdy — jak stwierdził dobitnie Brzozowski — potrzebna jej jest jak nigdy przedtem świadoma, planowa myśl, opanowująca i reorganizująca dzieje, hasłem narodów nie jest ani PRAWDA, ani ROZUM, ani żywy, tworzący CZŁOWIEK, lecz — — — kolorowa koszula.

Trzeźwi nasi współcześnicy zastrzegają się energicznie przeciwko istnieniu jakichkolwiek zbawczych prawd, doktryn, czy idej, bo przecież „nikt rozsądny nie wierzy w takie powszechne panaceum na wszystkie niedole świata". Nie może być tem panaceum rozum, nie może niem być filozofja ani prawo moralne ani Słowo Boże. „Trzeźwi" i „praktyczni" gwałtownie protestują przeciwko takim uroszczeniom. Co innego natomiast „kolorowa koszula". Ona to „czyn realny", ona to „bezpośredni kontakt z życiem", ona to nie jakieś fikcje rozumowe — lecz ogólnoludzkie zbawienie. Bo w kolorową koszulę można się ubrać, można ją salutować, można w niej maszerować, wznosić okrzyki i wogóle... uratować naród.

Jest w tem zjawisku coś specyficznego, jakiś straszliwy, ironiczny znak zapytania, postawiony nad zarozumiałą, domniemaną dojrzałością duchową bardzo starej i bardzo cywilizowanej Europy. Jest w tem jakieś dziecinnie przebiegłe: „wykpić się od historji!" Człowiek europejski, ogłupiony materjalistyczną ciasnotą horyzontów nie umie i nie chce stanąć oko w oko, po męsku, naprzeciw olbrzymich problemów rekonstrukcji życia społecznego, jakie narzuca mu nieodparcie rzeczywistość, spiesząca się ku najwyższym swoim celom. Człowiek europejski, wbrew wszelkim dławiącym koniecznościom, *nie ma zamiaru myśleć*, postanowił z „genjalną" determinacją maszerować na ślepo w otchłań absurdalnego „jakoś to będzie". Człowiek europejski ubiera kolorową koszulę i dumny jest z zadokumentowanej w ten niewybredny sposób przynależności do ducha czasu, do doktryny politycznej, do jakiejś i czyjejś idei. Treść tej idei jest mu w zasadzie obojętna, tak jak obojętną jest ogółowi katolickiemu treść dogmatów i prawd religijnych, w które się wierzy dla wygody, z tradycji i z przyzwyczajenia.

W gruncie rzeczy Europa nic rozumie nic z tego, co się na jej terenie dzieje i jest uszczęśliwiona gdy wśród ogólnej dezorjentacji zamajaczeją jakieś niewymagające wysiłku mózgowego znaki orjentacyjne, w rodzaju swastyk, powitalnych wykrzykników czy kolorowych koszul. Europa cieszy się, że oto jest znowu coś nowego, że będzie można tanim kosztem wydobyć się z tarapatów i że — dzięki tym lub owym koszulom — jutro będzie może znów dobrze. W braku jakiegoś punktu zaczepienia, w braku powszechnej prawdy i autorytetu, narody oglądają się za czyjąś twardą wolą, której rozkazom możnaby się poddać. Te, które posiadły już wodza, czepiają się jego woli z histerycznem westchnieniem ulgi, te zaś, którym Bóg go poskąpił, ubierają się przynajmniej w kolorowe koszule, w tajnej nadziei, że tym magicznym znakiem wywołają go z pod ziemi czy też z nieba. I tak powstaje to tragicznie - groteskowe widowisko: miljon koszul w poszukiwaniu wodza.

Gorzkie te słowa wymierzone są nie przeciw treści wielkiego fermentu ideologicznego, jaki przeżywa dziś Europa, lecz przeciw jego formie, z treścią tą absolutnie nie zestrojonej. Nie ulega wątliwości, że najwięcej poczucia rzeczywistości wykazali w powojennej Europie ludzie w mundurach wojskowych. Element kombatancki ocknął się najpierwiej w obliczu groźnego procesu gnilnego, jaki rozpoczął się na naszym kontynencie. Odruchy energji, zdzierającej maskę kłamstwa z międzynarodowego targowiska politycznego, tam miały przedewszystkiem swe źródło. Także zbiorowe protesty przeciwko mafjom depravatorów i tajnym klikom, oraz akcja bojowa przeciw zgubnej marksowskiej doktrynie, przyszły stamtąd. Gwałtowne skłębienia tego fermentu odrodzeńczego, jakie oglądaliśmy w szeregu krajów europejskich, ostatnio w Niemczech i we Francji, są świadectwem, że świadomość zaskórnej intoksykacji budzi się wszędzie. Potrzeba przywrócenia dyscypliny moralnej, koordynacji twórczego wysiłku, zbiorowego zestroju uczuć i działań — jest dziś ogromna. Niestety jednak niedojrzałość dziejowa współczesnej świadomości europejskiej poczyna pchać te odruchy po linji najmniejszego oporu. Sygnałami alarmowemi tego niebezpiecznego zboczenia są właśnie kolorowe koszule.

Wszcząć ferment, to już bardzo wiele. Ale w jakich formach znajdzie swe ujście wybuch takiego wrzątku społecznego, nikt tego przewidzieć nie zdoła. Dlatego fermentacje tego rodzaju są tylko koniecznem zwróceniem uwagi ogółu na wielkie i groźne problemy, domagające się rozstrzygnięcia. Dalszą robotę wykonać już może tylko myśl jasna, konstruktywna i dalekowidząca, ogarniająca wszystkie perspektywy odbywającego się procesu dziejotwórczego. Bez takiej myśli kierowniczej, ruch odrodzeńczy pozostanie tylko formą bez treści, dziecinną próbą mechanicznego uzdrowienia narodu przez maszerowanie w ordynku po ulicach. Dobrze jeszcze gdy skończy się na tej gaskonadzie i na powolnem wygasaniu chwilowo rozbudzonej egzaltacji. Znacznie gorzej byłoby, gdyby próby takie usiłowały rozrość się w doktryny polityczne, mające ambicję podporządkowania sobie całej rzeczywistości społecznej, wtedy bowiem przychodzi niewola duchowa, owo norwidowskie „formy postawienie na miejsce celu"; następuje skoszarowanie społeczeństwa, dyktatura siły niekontrolowanej rozumem, a wreszcie walka w imię efemeryd i absurdów przeciwko najświętszym i najwyższym normom życia ludzkiego (exemplum neopoganizm w Niemczech hitlerowskich i jego barbarzyński zatarg z religją). Zamiast zamierzonego odrodzenia moralnego, zamiast wychowania nowego typu człowieka, oglądać będziemy wówczas rozbujanie najprymitywniejszych stanów emocjonalnych, wyścig histerji i demagogji, nabijanie dusz ludzkich ładunkami dynamitu. Aż wreszcie owe straszliwe fronty koszul, owe stalowe, zmilitaryzowane machiny, wyruszą naoślep przed siebie jak Golemy, ciężarem swoim burząc i niszcząc.

Uwagi te zdają się być bardzo na czasie, gdyż rok 1934-ty jest i w Polsce świadkiem gwałtownej fermentacji ideologicznej, która — w treści swej może zbawienna — w formie wyrażać się już zaczyna nieszczęsną psychozą koszul. Nie widać wcale, by warstwy kierownicze tych ruchów odrodzeńczo - młodzieżowych rozumiały swoją odpowiedzialność za dalsze ich losy. Zamiast sięgnąć po busole rozumowe, zamiast szukać owej wielkiej historycznej idei, owej myśli twórczej, którą dziś Polska w sobie wykrystalizować powinna, zdają się skłaniać i one ku linji najmniejszego oporu, t. j. ku hałaśliwym deklaracjom programowym, będącym kombinacjami z jednej strony najbardziej demagogicznych haseł różnych stronnictw dotychczasowych, z drugiej zaś gotowych szablonów czerpanych z podobnych ruchów zagranicą.

Głosimy oddawna w „Zecie" konieczność wzniesienia sztandaru własnej polskiej idei dziejotwórczej, idei nie sztucznie ad hoc spreparowanej, lecz tkwiącej korzeniami w odwiecznych tradycjach naszych dziejów, a ugruntowanej rozumowo przez nowoczesną polską myśl filozoficzną i historjozoficzną. Ostrzegaliśmy wielokrotnie, że jeśli nowa, twórcza Polska nie podda się kierownictwu takiej własnej idei, dostanie się nieuchronnie w orbitę cudzych doktryn społeczno - politycznych, a temsamem w orbitę ich wpływów materjalnych i duchowych. Pisaliśmy m. in. w artykule „Gra o sentymenty" z 1 czerwca 1933 r., że „Polska potrzebuje nagląco tej idei, o ile chce się ostać w zamęcie walki, jako czynnik samodzielny i twórczy. Ideje mają bowiem wielką siłę penetracyjną i przenikają z łatwością poprzez kordony graniczne. Polska dostanie się prędzej czy później w orbitę jednego lub drugiego bloku ideowego, a pod ciśnieniem obydwu będzie zmielona na miazgę, stając się materjałem budowlanym pod przyszłą marksistowską lub hitlerowską Europę. Stanie się to napewno, o ile nie ujawni ona energji politycznej i nie wysunie własnej, samodzielnej koncepcji, zdolnej powstrzymać pochód tamtych i pójść zwycięsko naprzód. Już dziś w prawicy polskiej nurtują sympatje do hitleryzmu, zaś w lewicy sympatje do bolszewizmu (i to zarówno w opozycji jak w grupach: zachowawczej i radykalnej obozu rządowego)".

Cytujemy ten obszerny ustęp, aby w świetle jego ujrzano, jak daleko posunął się — w ciągu roku — proces przenikania obcych ideologij w naród polski. Pacyfikacja granic zachodnich i wschodnich Rzeczypospolitej nadała mu tempo piorunujące (przed czem ostrzegaliśmy również). Trudno zaiste bronić dusz polskich przeciwko doktrynom, które idą z mocarstw zaprzyjaźnionych, zyskując sobie — pośrednio — oficjalne poparcie. Cóż dziwnego, że młodzież prorządowa („Legjon Młodych") bierze kurs probolszewicki i bezbożniczy? Cóż dziwnego, że młodzież obozu narodowego przyswaja sobie program Hitlera, że organizacje i pisma młodych „hitlerowców" polskich wyrastają jak grzyby po deszczu? I cóż dziwnego wreszcie, że obydwa te fronty ubierają się z gorączkowym pośpiechem w kolorowe koszule? Gdy się widzi tę groteskową sprzeczność pomiędzy puszeniem się mocarstwowością a trywjalnem naśladownictwem cudzych szablonów politycznych, chciałoby się zawołać: O Polsko, czyż znowu „pawiem narodów *będziesz* i papugą"?!

Jest faktem, że obóz prorządowy źle sobie poczynał na froncie młodzieżowym. Dowodem tego jest ferment rozkładowy na terenie „Legjonu Młodych", ferment powstały niestety nie na tle różnic ideologicznych, lecz na tle brudnych intryg i machinacyj. Mści się tu przesąd pewnych kół, że można porwać za sobą młodzież rozdawaniem posad i pieniędzy. Ale i obóz narodowy powinien strzec się, by nie zdemoralizował młodzieży innemi znowuż czynnikami. Grube, demagogiczne hasła, pokrywające często bezmyślność (nietylko brak programu) mogą nam wychować — zamiast wielkiej Polski, rządzonej przez prawo moralne i rozum twórczy — pokolenie nacjonalistycznych neo-pogan i pałkarzy.

Ferment, jaki rozpoczął się wśród młodzieży polskiej w ostatnich miesiącach, jest potężną siłą odrodzeńczą, jako spontaniczna dążność do oczyszczenia Polski z elementów rozkładowych owej radykalno-masońsko-bolszewickiej zarazy, przed którą bronią się dziś wszystkie narody Europy. Ale niski poziom ideowy tej roboty, jej krzykliwość i prymitywizm środków, operowanie demagogją zamiast czystej argu- świadomości europejskiej poczyna wreszcie bezmyślne nawiązywanie do cudzych wzorów, świadczy, że naród nie dojrzał jeszcze do roli, jaką przygotowuje dlań historja.

Doprawdy, gniew ogarnia, gdy się patrzy na tę idjotyczną dziecinadę, jaka odbywa się w Europie po wojnie światowej. Cóżto innego przeciwstawiono tam djabelskiemu macchiawelizmowi roboty rozkładowej, jak stare kombinacje polityczne, przystrojone w nowe koszule, jak emocjonalizm i irracjonalizm rozhisteryzowanych tłumów? Czy na tej drodze ludzkość spodziewa się naprawdę rozwiązać tragiczny problemat swego wyzwolenia, czy zdoła ona przejść w ten sposób ku swoim *absolutnym celom?*

„Tylko w Polsce i tylko przez Polskę może się zacząć opatrznie nowy okres w dziejach świata"... Te słowa Krasińskiego mogłyby dziś przeobrazić się w żywą realność społeczną i polityczną. Ale przedtem naród polski musiałby uświadomić sobie, jakie potężne moce duchowe w nim drzemią. Musiałby rozpoznać się we własnej swej idei posłanniczej, którą wypracowali jego nadludzko genjalni myśliciele. Musiałby „wygrać wojnę Prawdy w sobie", aby doróść do roli twórczego, świadomego podmiotu nowej ery dziejów. Cóż, kiedy naród ten, zamiast tworzyć światowładną ideę, zaczyna sam chorować na europejskie choroby kontynentalne: fałszywy nacjonalizm, fałszywy elitaryzm i fałszywy etatyzm. Cóż, kiedy i on, zamiast wierzyć w DUCHA, wierzy tylko w szablę. I nie widzi, że go zalewać zaczyna to barbarzyństwo duchowe, które ma jakoby zwalczyć zło toczące narody, a które jest właśnie na rękę czynnikom zakulisowym, pchającym świat w przepaść. „Nie będzie gadem, kto zwalczy gady" — pisze Norwid w swem misterjum o Krakusie zwyciężającym smoka. Stary człowiek, obciążony dziedzicznie wszystkiemi dawnemi nałogami i przesądami politycznemi — nie przezwycięży w sobie starego grzechu. W Polsce dźwignąć się musi Człowiek Nowy, potęga jasna, rozumna i twórcza, świadomy obywatel jutrzejszej, odrodzonej Europy.

Ale ten nowy człowiek to napewno nie będzie ten, który przywdziawszy kolorową koszulę, wymachuje pociemku maczugą. Człowiek nowy to kryształ prawdy, to rycerz czystości moralnej, to słońce rozumu. W Polsce tymczasem panoszy się oddawna zakorzeniona niechęć do myśli a wiara w szablę. Szablą trzeba umieć władać, bo wpośród shisteryzowanego świata Polska musi być twierdzą warowną sprawności i siły. Ale szabla jest tylko narzędziem w rękach jasno obliczającego szanse rozumu. Śmieszny i głupi byłby kult tego narzędzia, jako zbawczego samo przez się. Ostrzegamy przed taką omyłką tych zwłaszcza, którzy biorą sobie za godło samą rękę z mieczem... bez głowy. Trzeba w Polsce wychować nie naród-wojsko, sprawnie maszerujące i krzyczące „hurra!", lecz pełnego i wolnego człowieka, zdolnego do poświęcenia całego siebie wielkiej, posłanniczej idei. Na takiego człowieka Polska będzie mogła liczyć napewno, on zawsze i wszędzie „stanie w potrzebie".

Musimy nauczyć się myśleć. Idą czasy, w których Polska będzie musiała MYŚLEĆ ZA CAŁĄ EUROPĘ. Przeczuwał to Wyspiański, gdy mówił: „W Polsce zagadką Hamleta jest to, *co jest w Polsce do myślenia!*"

Jeszcze w sprawie twórczości artystycznej

(Dokończenie).

Nie chodzi tu o nomenklaturę, ale ważnem jest to, że każde dzieło sztuki jest tym kijem, który nie jest ani jednym końcem, ani drugim końcem, ale jest kijem o dwóch końcach. W moich rozważaniach określałem dotąd zawsze te dwa biegunowo ze sobą sprzężone kierunki słowami: „idea i tworzywo“; a samo, konkretnie zrealizowane dzieło nazywałem: „formą“. Tak rozumiana forma (czyli kształt) jest jedyną rzeczywistością tak, jak rzeczywistością jest tylko kij. Idea i tworzywo nie mają konkretnego bytu same w sobie tak, jak nie mają konkretnego bytu oba końce kija. Te końce wskazują tylko na dwa kierunki, pomiędzy któremi rozpięta jest rzeczywistość. Nie można dotrzeć do ostatecznego źródła żadnego z tych dwóch kierunków; nie można dotrzeć do ostatecznej treści zasady duchowej i nie można dotrzeć do ostatecznej treści zasady materjalnej *). Obie te zasady są zatem niedostępne dla naszego bezpośredniego poznania, a można je uświadomić sobie jedynie wtedy, gdy związane ze sobą syntetycznie wytworzą rzeczywistość, którą nazwałem formą, czyli kształtem. W tej formie, w tym kształcie zatem przeżywamy zarówno zasadę idei, jak zasadę tworzywa i przeżywamy je tem jaśniej, tem pełniej, im większa jest rozpiętość przeciwstawienia, czyli im dłuższy jest sam kij.

W architekturze gotyckiej rozpiętość ta jest olbrzymia. Mamy tu twardy kamień, ciążący mocno wdół i mamy napięcie religijne, porywające potężnie wgórę. Z tego biegunowego przeciwstawienia rodzi się kształt, który w jednej i tej samej logice konstrukcyjnej zespala nierozdzielnie te dwa sprzeczne kierunki. Można powiedzieć, że w tumie gotyckim nie wyraziłoby się nigdy tak silne napięcie duchowe, gdyby kamień nie był tak twardy, gdyby nie ciążył tak bardzo wdół. Równocześnie można powiedzieć, że prawa statyki, prawa ciążenia nieznalazłyby nigdy tak wyrazistej manifestacji, gdyby się w poczuciu ludzkiem nie sprzęgły z tak potężnym porywem mistycznym wzwyż. Gdyby ktoś zapytał owych przedziwnych budowniczych 11-go wieku, czy chodzi im przedewszystkiem o techniczną konstrukcję żebrową (pierwsza konstrukcja szkieletowa), czy też o ideę religijną, to patrzeliby szeroko rozwartemi oczami, nierozumiejąc pytania. Takiego pytania nie mogliby ci ludze zrozumieć nigdy, ponieważ w poczuciu ich nie istniał osobno problem techniczny, a osobno problem estetyczny, ale istniał tylko jeden problem, problem świątyni. Ci ludzie byli artystami w swojem poczuciu technicznem i inżynierami w swojem poczuciu artystycznem. I dlatego zbudowali kształt, w którym kamień modli się swoja własną, kamienną mową.

Czemże jest tedy ów kształt sam w sobie? Nie jest on ani kamieniem ,ani napięciem mistycznem, jest on „prawem“ i wyraża się w cyfrach, w rytmie. Na przecięciu kierunku duchowego i kierunku materjalnego rodzi się to, co nazywamy prawem. Każdy twór artystyczny (a w gruncie rzeczy każdy kształt rzeczywisty) kryje w sobie prawo, a raczej jest prawem. To też jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że badając twór artystyczny formalnie, nie wykrywamy w nim niczego, prócz owego prawa, owego rytmu, który jest węzłem zespalającym ideę z tworzywem, a można także powiedzieć: ducha z materją, albo „ja“ i „nie ja“, wewnętrzność z zewnętrznością albo jedność z wielością, środek z obwodem i t. d.

Muszę jeszcze raz powtórzyć z naciskiem, że zupełnie nie pragnę obecnie bronić tej, czy innej nomenklatury; pragnę tylko zwrócić uwagę na biegunowe przeciwstawienie dwóch zasad, których synteza wytwarza trzecią zasadę, manifestującą się w postaci prawa, czyli kształtu.

Teoretycy nie godzą się na taką troistość, ale jednak mówią bardzo często o tem, że twór artystyczny jest jednością zamanifestowaną w wielości; mówią oni również, że twór ten kryje w sobie zawsze prawo. Mojem zdaniem, takie postawienie sprawy jest w gruncie rzeczy uznaniem troistości, o której mówię. Wszakże nie trudno jest wykazać, że zespolenie jedności z wielością oznacza właściwie to samo, co zespolenie „ja“ i „nie ja“, a równocześnie ducha z materją, idei z wrażeniem i t. d. Każde prawo jest jednością, wyrażoną w wielości, a przeto duchem wyrażonym w materji, względnie ideą (przeżywaną w duchu) zainkarnowaną w tworzywie, (t. j. w tem, co przeżywamy jako wrażenia).

Wszelki kształt rzeczywisty jest tedy prawem, wiążacem ideę z tworzywem, a prawda ta znalazła dobitny wyraz w najnowszych pojęciach naukowych. Fizyka dzisiejsza mianowicie dochodzi do wniosku (zupełnie zrozumiałego na tle powyższych rozważań), że najgłębszą istotę wszelkiej rzeczywistości konkretnej stanowi: „formuła matematyczna“, czyli prawo. Każdy kształt artystyczny przedstawia pewną rzeczywistość konkretną i jest również w swojej najgłębszej istocie taką formułą matematyczną. Formiści, o ile ich rozumiem, wpatrzeni są właśnie w ową formułę i nazywają ją „formą“. W tym punkcie godzę się najzupełniej ze stanowiskiem formistów, ale różnię się od nich zasadniczo, ponieważ nie mogę sobie wyobrazić prawa, jako zasady samodzielnej, nie mogę sobie wyobrazić, aby człowiek mógł stworzyć prawo, któreby się nie odnosiło do jakichś treści, poza tem prawem bytujących, aby człowiek mógł stworzyć prawo z niczego i dla niczego. Dla mnie nie może istnieć „prawo dla prawa“; dla mnie istnieje prawo jedynie jako zasada wiążąca jedność z wielością; jedność zaś możemy wyłonić jedynie i wyłącznie z naszego wnętrza w postaci jedności jaźniowej**); wielość zaś możemy czerpać jedynie i wyłącznie ze świata zewnętrznego w postaci doznań zmysłowych (płynących z treści materjalnej). Tak więc, nie znam prawa, jak tylko to, które wyraża syntezę idei i tworzywa, ducha i materji, i nie znam innej sztuki, jak tylko tę, która się przerzuca mostem pomiędzy temi dwoma światami. Nikt, zdaje mi się, nie przeczy temu, że artysta wyraża w dziele sztuki samego siebie. Skoro artysta, jako człowiek, jest duchem związanym z cielesnością, przeto i jego odbicie w kształcie, jaki tworzy, musi być duchem, związanym z cielesnością — ideą, związaną z tworzywem, stylem, związanym z typem, środkiem, związanym z obwodem i t. p. Zasada owego wiązania stanowi prawo, czyli rytm i daje się wyrazić cyfrą.

Na zakończenie pragnę uprzedzić jeszcze jeden zarzut: Zasada troistości dotyczy wszelkiej rzeczywistości; ponieważ zaś w rozważaniach dotychczasowych chciałem omówić przedewszystkiem tę właśnie zasadę ogólną, przeto nie podkreśliłem różnicy, jaka istnieje pomiędzy kształtem artystycznym, a każdym innym kształtem rzeczywistym. Różnicy tej nie potrafię ująć w żadną ścisłą definicję pojęciową, ale odczuwam ją jasno. Wyrazić mógłbym ją w ten sposób, że sztuka tworzy kształty nie nato, aby miały byt samoistny, ale nato, aby „przemawiały“ do innych ludzi. Sztuka jest „słowem“, które dąży do wyrażenia tego, co się dzieje pomiędzy duchem i materją. Sztuka, jako słowo pragnie połączyć ze sobą ludzi i dlatego jest zasadą nawskroś społeczną: możnaby powiedzieć, że jest niejako narzędziem miłości. Sztuka egoistyczna nie ma właściwie sensu; przestaje ona przemawiać, przestaje być słowem, przestaje być sztuką. Tak więc, sztuka jest sama przez się zasadą moralną i dlatego niepotrzebuje moralizować.

Zegarek, automobil, fabryka i t. p. są kształtami rzeczywistemi, są inkarnacją jakiejś idei w jakiemś tworzywie. Prawo, jakie się w tych kształtach manifestuje, możemy wyczuć (nawet nierozumiejąc go pojęciowo). i to wyczucie prawa, to wyczucie logiki organizującej przeżywamy jako piękno. Kształty te są zatem piękne, ale pomimo to nie są dziełami sztuki, jeżeli zostały powołane do życia wyłącznie poto, aby służyły do praktycznego użytku (a nie poto, aby mówiły). To piękno użytkowe może się jednak przedzierzgnąć w artystyczne. Dzieje się to z tą chwilą, gdy konstruktor, przejęty pięknem przez siebie stworzonem, chce je równocześnie wyrazić. Z chwilą, gdy konstruktor chce niejako śpiewać to piękno, z tą chwilą przeistacza się w artystę. Można powiedzieć, że w pewnym stopniu dzieje się tak zawsze, gdy konstruktor jest naprawdę społecznie twórczy. Każdy prawdziwie twórczo i miłośnie wyłoniony kształt techniczny pragnie równocześnie być także i słowem, a przeto nosi na sobie pewne piętno sztuki; ale ta treść artystyczna jest w dziele inżynierskim zazwyczaj uboga, ponieważ rozpiętość pomiędzy ideą a tworzywem jest tu w zasadzie mała. W ten sposób można zrozumieć, dlaczego technika wytwarza dzisiaj formy piękne, i równocześnie często w pewnym stopniu artystyczne.

Gdy jednak ktoś chce być tylko estetą, gdy np. architekt przestaje być twórczym inżynierem i chce się ograniczyć do czystego estetyzowania, gdy niema entuzjazmu dla koncepcji technicznej, a używa jej tylko jako podłoża dla swojej twórczości czysto estetycznej, z tą chwilą słowo jego staje się pustym dźwiękiem i rodzi się pseudosztuka, która jest zawsze agresywna, pretensjonalna i bezduszna. W tworach takich nie może być jednolitości, ponieważ dążenia estetyczne nie są zidentyfikowane z dążeniami technicznemi; te dwojakie czynniki przeszkadzają sobie wzajemnie, przysłaniają się wzajemnie, i szukają napróżno sharmonizowania w jakimś sztucznym kompromisie.

Zasada techniczna, czyli zasada rzemiosła i zasada estetyczna muszą się *koniecznie zrość w duszy twórcy*, wytwarzając tam nierozerwalną jedność i dopiero z tej jedności wykwitnąć może prawdziwy kształt artystyczny; tylko wtedy powstaje jedno jednolite prawo, które jest równocześnie żywym rytmem, niejako muzycznym i formułą matematyczną.

Duch i materja zwalczają się na platformie targowiska codzienności, targowiska małych egoizmów i wytwarzają banalność i brzydotę, ale stapiają się ze sobą w ogniu twórczej miłości, i wtedy rodzą piękno. Oto, co mówi do mnie „słowo-rytm“, „słowo-prawo“, „słowo-kształt artystyczny“.

Karol Homolacs.

*) Ostateczną treścią zasady duchowej jest prawdopodobnie to, co się kryje poza słowem „ja“. Poznać tę treść samą w sobie oznaczałoby poznać własną jaźń, czyli poznać siebie samego. Taki postulat wypisany był już przed wiekami u wejścia do świątyni, ale nie myślę, aby został dotychczas zrealizowany przez wielu ludzi. Nie mogę się więc zgodzić z p. Braunem, który mówi, że może świadomie obserwować jaźń, gdy dokonuje twórczego aktu. Jeżeli spytamy zkolei, co stanowi ostateczną treść zewnętrznych zjawisk materjalnych, to musimy odpowiedzieć, że tego dotychczas nie wiemy, a większość filozofów twierdzi, że się tego nigdy nie dowiemy. Hipotetycznie możnaby przypuścić, że ostateczną treścią świata zewnętrznego jest coś, co ma również charakter jaźniowy. Do takiego wniosku upoważnia choćby ten fakt, że jaźń ludzka wchodzi w ścisły kontakt ze światem materjalnym. Otóż, rozumując logicznie, możnaby powiedzieć, że nie może istnieć żaden kontakt, żaden stosunek pomiędzy dwoma zasadami, jeżeli te zasady nie mają jednakiej treści. Tak więc, synteza zasady duchowej i zasady materjalnej oznaczałaby w najgłębszej swojej istocie syntezę jaźni — podmiotu, z jaźnią — przedmiotem. Rozważania moje doprowadziłyby tedy do definicji wyrażonej w słowach podobnych do tych, jakie podał p. Braun. Rozumowanie doprowadziło mnie do tych słów, ale te słowa są pomimo to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Rozumowanie robi często takiego figla. Łatwo np. rozumowaniem dojść do wielowymiarowości, ale twierdzę stanowczo, że nikt wielowymiarowości nie może zrozumieć i dlatego nikt nie może wiedzieć, czy temu pojęciu odpowiada jakakolwiek rzeczywistość. Osobiście nie czuję się uprawnionym do sięgania w takie tajemnice bytu, ponieważ świadomość moja gaśnie zanim dosięgnie tych szczytów. Mogę wprawdzie snuć domysły o tem, co tam być może, ale nie mogę wiedzieć, co tam jest naprawdę.

**) Tę sprawę ujmuje bardzo jasno Th. Lipps w dziele: „Aestetik, Psychologie des Schönen und der Kunst“. Całą swoją estetykę opiera Lipps właściwie na jedności, która jest wyrazem zasady jaźniowej. Myśl tę rozwija najobszerniej w rozdziale: „Prinzip der Monarchischen Unterordnung“, ale i w wielu innych rozdziałach wyraża ją również bardzo dobitnie. Na str. 302 czytamy: „Znamy z poprzednich rozważań dążenie do ujmowania wielości rzeczy w jedność. Dążenie to należy do ogólnych praw estetyki, a raczej dążenie takie jest właśnie tem prawem estetyki: innemi słowy, dążenie to stanowi estetyczną zasadę formy, rządzącą wszelkiemi innemi zasadami“. Na sr. 196 czytamy: „Należy sobie jak najgłębiej uświadomić, że nie istnieje dla naszej wyobraźni żadna jedność, poza tą jednością, którą przeżywamy w sobie. Jedność naszej jaźni jest jedyną jednością, którą możemy sobie wyobrazić, ponieważ jest jedyną, którą możemy bezpośrednio przeżyć, jedyną, którą znamy z doświadczenia. Każda inna jedność może być tylko pustem pojęciem, jeżeli nie jest powtórzeniem, odbiciem jedności naszego „ja“.

O ruchu samorzutnym w przyrodzie

Apodyktyka Wrońskiego — to chyba najrozleglejsza, jaką kiedykolwiek wytworzyła ludzkość, systematyczna encyklopedja Wszechświata. Proszę mię dobrze zrozumieć! Są na świecie *encyklopedje* sto albo i dwieście razy obszerniejsze, ale są to luźne uszeregowania wiadomości, faktów, teoryj naukowych, hipotez, domysłów, gdzie każda gałąź wiedzy jest ujęta z zupełnie odmiennego punktu widzenia, zupełnie odmienną metodą. Otóż tutaj jest całkiem inaczej. Istnieją zwolennicy, istnieją też przeciwnicy Wrońskiego; ale sądzę, że i jednych i drugich z jednaką bodaj siłą musi uderzyć fakt, iż w *Apodyktyce* wszystkie niezliczone systemy są zbudowane na jednej jedynej, wszystkim wspólnej zasadzie, która jeśli wolno się tak obrazowo wyrazić, stanowi jakby klucz, otwierający wszystkie te różnorakie systemy. Czy to będzie religja, czy matematyka, czy logika, czy sto innych działów wiedzy — zawsze odnajdziemy jeden schemat podstawowy, jedno ogólne prawo, które tym sposobem słusznie może sobie rościć pretensje do nazwy Prawa Tworzenia.

O tem Prawie Tworzenia pisało się już w „Zecie“ niemało. Przedewszystkiem daliśmy w przekładzie wykład jego, dokonany przez samegoż Wrońskiego; pozatem niżej podpisany omówił, w dość obszernej pracy, systemat Psychologji, ujęty według tegoż Prawa. — Otóż wydało mi się rzeczą ciekawą — dać czytelnikowi niejako konkretną ilustrację niektórych tego Prawa zastosowań. Niepodobna tu nanowo tłumaczyć całej jego konstrukcji. Dla zrozumiałości poniższych wywodów, przypomnę tylko w paru słowach suchy jego schemat. A więc: Najpierw mamy t. zw. Element-Neutralny, będący niejako zarodkiem całego systematu. Element ten rozpada się na dwa biegunowe: jeden bierny, bezwładny, stanowiący podstawę istnienia tego systematu — jest to Element-Byt; drugi czynny, samorzutny, stanowiący znaczenie rozumowe systematu — jest to Element-Wiedza. Dalej: Element-Byt, w połączeniu z Elementem Neutralnym, daje Element-Powszechny-Byt; zaś Element-Wiedza, w połączeniu z tymże Neutralnym, daje Element-Powszechną-Wiedzę. Wzajemne przejścia pomiędzy dwoma elementami powszechnemi dają Element-Przejściowy-Byt i Element-Przejściową-Wiedzę. Potem następuje część systematyczna, w której mamy: 1) częściowy wpływ Elementu-Bytu do Elementu-Wiedzy; 2) przeciwny częściowy wpływ EW do EB; 3) wzajemny wpływ czyli harmonję EB i EW; i wreszcie Jednakość-Wieńczącą, stanowiącą systematyczne utożsamienie wymienionych uprzednio elementów powszechnych.

A teraz do rzeczy.

Zastanawiało mię zawsze, iż *Apodyktyka* klasyfikuje istoty żywe w sposób bardzo odmienny od klasyfikacji, przyjętej w przyrodoznawstwie empirycznem. Usiłowałem wpaść na ogólną zasadę, która Wrońskiemu w tej klasyfikacji przyświecała. Otóż biorąc pod uwagę niezmierną doniosłość, jaką w całej filozofji tego myśliciela posiada s a m o r z u t n o ś ć, i uwzględniając następnie fakt, że pierwszorzędnym przejawem zewnętrznym samorzutności istot żywych jest ich zdolność celowego poruszania się, wolno być może przypuścić, że tu właśnie znajdziemy busolę, która nam w pewnej mierze ułatwi zrozumienie tej osobliwej klasyfikacji.

Powodowany takiemi względami, starałem się zbudować systemat *samorzutnego ruchu w przyrodzie*. Oto pobieżny szkic tego systematu.

Za EN uznamy bez dyskusji, jako rzecz wcale oczywistą, *samorzutną zmianę miejsca.*

Następnie szukamy składników biegunowych. Nato, by nastąpiła zmiana miejsca, powinno oczywiście istnieć jakieś środowisko i jakaś samorzutnie się poruszająca istota. Aby odkryć obchodzące nas tu elementy, musimy przedewszystkiem znaleźć, jaki będzie najbardziej b i e r n y i b e z w ł a d n y, a jaki najbardziej c z y n n y i s a m o r z u t n y stosunek tej istoty do tego ośrodka.

Stosunkiem najbardziej biernym będzie rzecz prosta, *przylgnięcie* do ośrodka. To właśnie uznamy za EB w niniejszym systemacie.

Stosunkiem najbardziej czynnym będzie, *odpychanie się* od ośrodka. I to uznamy za EW.

Szukamy dalszych elementów, mianowicie obu powszechnych. Bierzemy najpierw kombinację EB z EN, to znaczy kombinację przylgnięcia do ośrodka ze zmianą miejsca. Odrazu się narzuca określenie: *zmiana miejsca przez nieruchome przylgnięcie do ruchomego ośrodka*. Jest to w naszym systemie EPB. Dość dobrą jego ilustracją będzie bezwładne *unoszenie się* (flottement) różnych zwierząt wodnych na ruchomej fali.

Teraz idzie nam o kombinację EW z EN, to znaczy odpychania się od ośrodka ze zmianą miejsca. Otrzymamy, co zdaje się nie ulegać wątpliwości, definicję: *zmiana miejsca przez samorzutne odpychanie się od* (zasadniczo) *nieruchomego ośrodka*. Ilustracją będzie naprz. *lot* ptaków w powietrzu, jako postać ruchu samorzutnego najbardziej typowa, bo najswobodniejsza i wielokierunkowa (we wszystkich trzech wymiarach). Uznamy to za EPW naszego systematu.

Obecnie szukamy składników przejściowych. Nasamprzód znajdźmy taką postać Unoszenia się, która w swoim zakresie pełniłaby niejako funkcję, równoznaczną z Lotem. Jest to, sądzę, *pływanie*. Uznamy więc Pływanie za EpB.

Jaka jest postać przeciwstawna Lotu, któraby w swoim zakresie pełniła funkcję, niejako równoznaczną z Unoszeniem się? Zupełnie dobrze odpowiada temu *szybowanie*, które też uznamy za EpW niniejszego systematu.

Posiadamy więc już wszystkie siedem elementów. Przechodzimy do części systematycznej.

W części tej rozpatrujemy nasamprzód wzajemne wpływy częściowe dwu elementów biegunowych, czyli, w niniejszym systemacie, Przylgnięcia do ośrodka i Odpychania się od ośrodka.

Aby mieć tutaj wpływ częściowy EW do EB, musimy wyszukać taką postać ruchu samorzutnego, w którejby rolę przeważającą odgrywało Przyleganie do ośrodka, ale już poniekąd zmodyfikowane, usamorzutnione przez — słabo się zresztą zaznaczający — wpływ Odpychania się. Myślę, że tą postacią jest niewątpliwie *czołganie się*, np. wszelkich gadów, robaków itd. Zatem Czołganie się będzie naszą klasą systematyczną: Wiedza-w-Bycie.

Dla znalezienia klasy przeciwstawnej, trzeba wyszukać taką postać ruchu samorzutnego, gdzie mocno przeważa Odpychanie się od ośrodka, ale już jakby nieco obciążone, a zarazem ustatecznione, przez pewien wpływ częściowy Przylgnięcia do ośrodka. Taką postacią jest *skok*, np. pchły,czy konika polnego. Skok też będzie klasą: Byt-w-Wiedzy naszego systematu.

Jakoż istotnie: Czołganie może odbywać się tak, że ciało istoty żywej nieustannie przylega do ośrodka. Przeciwnie zaś przy Skoku, przylgnięcia do ośrodka są chwilowe, dorywcze, przelotne; istotę zaś jego stanowi właśnie Odpychanie się. Zauważmy też rzecz ciekawą, a mianowicie, że, jak to obowiązuje w schemacie Prawa Tworzenia, EN, czyli w naszym wypadku Zmiana miejsca, nie wchodzi bezpośrednio w te dwa wpływy częściowe: można sobie wyobrazić taką czynność istoty żywej, przy której byłyby wykonywane wszystkie charakterystyczne dla czołgania się ruchy, bez faktycznej zmiany miejsca; można też sobie wyobrazić taki skok, przy którym istota żywa stale opadałaby na ten sam punkt przestrzeni, więc zmiana miejsca znowuby nie zachodziła.

Znajdźmy zkolei harmonję czyli wpływ wzajemny pomiędzy EB a EW, tj. pomiędzy Przylgnięciem a Odpychaniem się od ośrodka. Tą postacią ruchu samorzutnego jest *chód* albo *bieg*, naprzykład zwierząt lub człowieka. Mamy bowiem tutaj zupełną równowagę obu wymienionych czynników. Jest to zatem Zbieg Celowy rozpatrywanego systematu.

I wreszcie — Jednakość Wieńcząca, ukoronowanie systematu, polegające na systematycznem utożsamieniu obu elementów powszechnych, czyli tutaj: bezwładnego przylgnięcia do ruchomego ośrodka i samorzutnego odpychania się od ośrodka nieruchomego. Tą postacią ruchu jest wszelka *lokomocja sztuczna*, od najpierwotniejszych jej postaci, jak płynięcie na tratwie czy jazda konna, aż do najbardziej skomplikowanych, jak lot aeroplanem. Bo też istotnie: gdy płynę na tratwie, przylegam bezwładnie do ośrodka (tratwy), który tylko w stosunku do mnie jest nieruchomy, ale sam zkolei odpycha się od innego ośrodka, zasadniczo zgodnie z moim samorzutnym celem, którym jest zmiana miejsca. I jest to rzeczywiście ukoronowanie systematu, bo tutaj można osiągnąć możliwie największą stateczność, jaką obserwujemy przy Unoszeniu się, a zarazem możliwie największą dowolność i wielokierunkowość, taką, jaką się odznacza Lot.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Szczególna „Misja Narodowa“

W czasopiśmie „Misja Narodowa“ ukazał się lakoniczny artykulik p. t. „Fantazje w polityce“, zaczynający się od wyrazów sympatji pod adresem „Zetu“ a kończący wyniosłem ironizowaniem „poetyckich koncepcyj“ artykułu naszego „Polska a imperjum słowiańskie“. W redakcji „Misji Narodowej“ — jak widać z owego artykuliku znajdują się bardzo trzeźwi ludzie, niezwykle praktyczni politycy, którzy zastrzegają się energicznie przeciwko wszelkim „fantastycznym planom“. Podług nich polityka „jest sztuką praktycznego działania“, polegającą na wysuwaniu w porę koncepcyj dojrzałych, zaś idea słowiańskiego imperjum federacyjnego pod przewodnictwem Polski, nie wydaje im się ani praktyczna, ani bezpieczna, ani wysunięta w porę. Skoro ci trzeźwi ludzie zlękli się już tej, nietrudnej do zrozumienia i uzasadnienia koncepcji, wyobrażamy sobie, za jak groźnych poczytaliby nas fantastów, gdybyśmy się im przyznali, że podług nas przyszła Polska — wraz z całem tem imperjum słowiańskiem — powinna być zorganizowana na zasadach społeczno i polityczno-ustrojowych doktryny mesjanicznej.

Wydaje nam się jednakowoż, że biedni ci arcytrzeźwi politycy przyszli na świat w epoce dla nich nieodpowiedniej i będą przeto narażeni na ciągłe rozczarowania i wstrząsy psychiczne. Taki już bowiem jest ten świat powojenny, że puszcza się na same fantastyczne, za daleko idące koncepcje, zamiast patrzeć prosto nosa i trzymać się zasady bezpośrednio praktycznego działania. Np. ten Mussolini! Istny warjat, który utrzymuje, że za 10 lat cała Europa będzie faszystowska, że Włochy, zamiast pilnować swoich interesów mają wskrzeszać staro-rzymskie imperjum, a doktryna faszystowska ma plan działania wypracowany aż do r. 2.000. Albo ten Hitler. Zamiast pamiętać o interesach Niemiec, głosi krucjatę międzynarodową przeciwko żydostwu i jego destrukcyjnym planom, nie mówiąc już o fantasmagorji posłannictwa rasy germańskiej, powołanej do reorganizacji świata. Tembardziej przykro nam mówić o tak nietrzeźwych, obłąkanych ludziach, jak Japończycy, którzy przez usta swoich ministrów i najwybitniejszych polityków bredzą coś o posłannictwie Japonji w Azji, o wskrzeszeniu cesarstwa chińskiego, o odrodzeniu duchowem zgangrenowanej cywilizacji europejskiej i o świętym obowiązku Japonji ratowania nieszczęśliwego, zżartego przez bolszewizm, narodu rosyjskiego. Jakże to wszystko musi boleć fanatyków trzeźwości i praktycznego działania.

Albo te doktryny! Zamiast myśleć o interesach Włoch, Mussolini stwarza sobie faszystowską doktrynę, do której chce naginać rzeczywistość europejską. Jeszcze okropniej zachowują się Niemcy, którzy twierdzą z fanatycznym entuzjazmem, że całe swe odrodzenie narodowe zawdzięczają wysuniętej przez Hitlera doktrynie. Polityka — jak to słusznie zaznacza „Misja Narodowa“ — „jest to znacznie bardziej skomplikowane zajęcie, aniżeli n. p. napisanie powieści, a nawet dobrego utworu czy wiersza“ (teoretykom sztuki zwracamy uwagę na to ciekawe rozróżnienie trzech odrębnych rodzajów literackich: powieści, dobrego utworu i wiersza!). Nie chciał o tem pamiętać Lenin, próbując wprowadzić w czyn fantasmagoryczne doktryny i fikcje „światowego budownictwa socjalistycznego“. Żyjąc w tym niesamowitym świecie, politycy z „Misji Narodowej“ pragnęliby by przynajmniej Polska kierowała się tylko interesem, a nie jakiemś fikcyjnem posłannictwem i aby ograniczyła się do realnego, praktycznego działania.

Podług fantazyj „Zetu“ cel polityczny idei imperjum słowiańskiego polegałby na: 1) położeniu tamy ekspanzji komunizmu, 2) osadzeniu w miejscu imperjalizmu pangermańskiego, 3) zorganizowaniu Europy Wschodniej, na wypadek klęski Sowietów w zatargu z Niemcami i Japonją, oraz rozkładu wewnętrznego imperjum rosyjskiego. Wobec tego, że konflikt między Japonją a Rosją, oraz wszystkie jego katastroficzne następstwa mogą nastąpić albo za lat dziesięć, albo też lada chwila, koncepcja powyższa jest podług „Misji Narodowej“ — wysunięta nie w porę. Pismo to nie podaje natomiast, kiedy mianowicie, zdaniem jego, byłaby ku temu pora.

„Panslawizm ideowy i państwowy“ „Zetu“ odrzuca „Misja Narodowa“ dlatego, bo on nas „dużo w swoim czasie kosztował i poprostu nam się nie opłacił“. Otóż radzibyśmy wiedzieć, kiedy to Państwo Polskie prowadziło politykę panslawistyczną, która mu się nie opłaciła? Bo chyba anemiczne filosłowiaństwo pewnych stronnictw w okresie niewoli nie było panslawizmem *państwowym* i nie mogło nam się „opłacić“, skoro „robiło go“ państwo rosyjskie, operujące po temu olbrzymiemi środkami, wskutek czego my mogliśmy być wówczas tylko małoznaczącą doczepką do tego ruchu, — „Misja Narodowa“ niema więc chyba na myśli tego epizodu.

Prócz ludzi tak trzeźwych, jak redaktorzy „Misji Narodowej“, są jeszcze inni mniej trzeźwi, którzy uważają, że polityka jest sztuką przewidywania na daleką metę, obliczania szans, które nie leżą jeszcze na łopacie przed nosem, przedewszystkiem zaś nie robienia niczego po niewczasie... Ta mądrość wywodzi się prosto od znanego przysłowia „mądry Polak po szkodzie“; pierwsza natomiast cechowała wszystkich tych, którzy odegrali jakąś rolę w historji.

I jeszcze jedno: trudno zrozumieć, dlaczego ludzie tak trzeźwi nadali pismu swemu tak poetyczny i fantasmagoryczny tytuł: „Misja Narodowa“? Czyżby termin: interes, i termin: posłannictwo, był dla nich jednem i temsamem?

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

Polski przekład „Osmana"

Od kilku lat praca nad zbliżeniem kulturalnem narodów słowiańskich czyni w Polsce duże postępy. Dowodzą tego liczne zjazdy i kongresy naukowe, zawodowe i t. p. o charakterze ogólno - słowiańskim, przedewszystkiem zaś bardzo intensywna działalność na polu przekładów. Nigdy może jeszcze nie poświęcały polskie pisma literackie tak wiele miejsca tłumaczeniom z literatur: czeskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, jugosłowiańskiej, słowackiej, bułgarskiej, czy łużyckiej, jak w ostatnich latach, (a zwłaszcza w ostatnich miesiącach). Charakterystyczny jest wzrost zainteresowań w tej dziedzinie u młodych, świadczący, że idea zbliżenia wszechsłowiaskiego zaczyna być u nas żywotną i nader popularną. W takim momencie ukazanie się pierwszego pełnego przekładu polskiego słynnej epopei jugosłowiańskiej „Osmana" Ivana Gundulić'a*) — uważać trzeba za prawdziwy ewenement, dający miarę wyjątkowego nasilenia przyjaźnych braterskich uczuć pomiędzy obydwoma narodami.

Ogromny ten poemat epicki w XX-tu pieśniach**) i około 12.000 wierszy, powstały w trzeciem dziesięcioleciu XVII-go wieku, zyskał sobie rychło sławę najcenniejszego klejnotu literatury jugosłowiańskiej i tłumaczony był na wiele języków. Znalazł on swoich entuzjastów i w Polsce, zwłaszcza w okresie wybitnego wzrostu zainteresowań literaturą i kulturą tego bratniego narodu, t. j. w pierwszej połowie XIX-go wieku. Zresztą już przedtem poemat ten był u nas znany, dzięki przekładowi włoskiemu, dokonanemu przez hr. Smecchię dla króla Stanisława Augusta. Utwór tak bardzo gloryfikujący Polskę, wysławiający jej szczytną misję w chrześcijastwie i Słowiańszczyźnie, musiał pociągnąć ku sobie Polaków, zwłaszcza w dobie klęski narodowej i wzrostu nastrojów mesjanistycznych. „Utwór Gundulić'a... — pisze W. Gostomski — pełen jest patrjotyzmu słowiańskiego, z jakim poeta wysławia triumf pobratymczego polskiego narodu nad muzułmańskim wrogiem słowiańszczyzny". A Budzyński: „To poema, gdzie każda pieśń... każda stronica dźwięczy sławą oręża polskiego, po raz pierwszy ukazało się w rękopisie w r. 1627... W mowie illyryjskich, bośniackich, dalmackich Słowian, w pieśniach tego ludu usłyszy podróżny rymy Jana Gundulića — te rymy o nas pieją, a my o nich mało, albo prawie nic nie wiemy". Nitowski, porównywując „Osmana" z „Wojną Chocimską" Potockiego pisze: „Z całego dzieła wieje duch rycersko-religijny, ten sam właśnie, którym był przejęty i nasz Potocki... Wszakże „Osman" o całe niebo przewyższa „Wojnę"... jest dziełem pełnem artyzmu, fantazji, poetycznych obrazów i podniosłych myśli".

Po kilku przekładach urywkowych, pracę przyswojenia językowi polskiemu całego „Osmana" podjął Karol Brzozowski (ur. w r.1821), przebywający wówczas na emigracji. Przesyłał on rękopisy tłumaczenia Mickiewiczowi, który odsyłał je z uwagami i poprawkami, oraz słowami energicznej zachęty. Niestety rękopis ukończonego już przekładu spalił się (wraz z wszystkiemi rękopisami dzieł K. Brzozowskiego), i „Osman" nie ujrzał wówczas światła dziennego, bo autor zniechęcony nie chciał już wracać do tej pracy. Streszczenia i urywkowe przekłady ukazywały się potem w Polsce kilkakrotnie (ostatnio w „Obrazie literatury powszechnej" Chmielowskiego z r. 1895). Po r. 1900 tłumaczeń z Gundulića już nie spotykamy. Tak więc przekład Cz. Jastrzębca - Kozłowskiego po raz pierwszy zaznajamia społeczeństwo polskie z pełnym tekstem tego ogromnego dzieła. Oby pracowity a współtwórczy wysiłek tłumacza, który tyle starań dołożył, aby osiągnąć wierność i całkowitą zgodność z oryginałem, oraz odtworzyć ducha czasu i nastrój poetycki utworu — stał się kamieniem węgielnym pod nowy okres współżycia kulturalnego odrodzonego narodu polskiego z odrodzoną Jugosławją.

Pracę Cz. J. Kozłowskiego ujmują w klamrę: wstęp prof. Milana Rešetara o Ivanie Gunduliću oraz studjum informacyjne Wacława Parkotta o rękopisach i przekładach „Osmana" w Polsce (z którego czerpię powyższe dane). Prof. Rešetar kreśli plastyczny obraz kultury dubrownickiej, której wykwitem i ozdobą była bujna twórczość Ivana Gundulića (ur. w r. 1589 — zm. w r. 1638). Dubrownik, bogaty, przemysłowy gród, miasto sztuk i nauk, dumna warownia niepodległego ducha słowiańskiego, zachowująca wolność przez długie wieki na pograniczu krzyżujących się wpływów politycznych i kulturalno - religijnych Turcji i Italji, stanowił glebę podatną dla rozwoju literatury narodowej; wczesne też są u dobrowniczan tendencje wszechsłowiańskie, które tak jaskrawy wyraz znajdują w dziele Gundulić'a. Poeta płodny a subtelny, tłumacz psalmów Dawida i wielu utworów włoskich, autor szeregu pieśni miłosnych, poematów i dramatów, zasłynął jednak Gundulić w ojczyźnie i poza jej granicami dopiero jako twórca „Osmana", przyjętego zwłaszcza przez młode pokolenie z entuzjazmem ogromnym. Uczucia jego dla Polski, jako opiekunki Słowiańszczyzny i pogromczyni jej najsroższych ciemiężycieli, znaleźć miały wyraz już uprzednio w przekładzie Tassa „Jerozolimy wyzwolonej", który miał być poświęcony królowi polskiemu. Zamiar ten nie przyszedł do skutku, natomiast wydarzenia z lat 1621 i 22 (straszliwy pogrom Turków pod Chocimem i jego następstwa) poddały mu plan wielkiej epopei, opromieniającej nimbem chwały imię Polski i królewicza Władysława. W okresie tym żywił poeta radosną nadzieję, że Polska dokona wkrótce zupełnego wyzwolenia narodów południowo - słowiańskich z pod jarzma tureckiego.

W kilku zdaniach treść „Osmana" przedstawia się następująco: Młodziutki sułtan Osman, rozgromiony pod Chocimem, postanawia udać się na wschód, do Azji, aby tam zorganizować nową potężną armję, z elementów lepszych niż wojska, które tchórzliwie podały tył w bitwie chocimskiej; z armją tą zamierza dokonać podboju całego świata chrześcijańskiego. Aby się zabezpieczyć wysyła poselstwo z prośbą o pokój do Warszawy. Ale wojsko przyboczne sułtana burzy się przeciwko wieściom o zastąpieniu go przez zastępy sformowane w Azji. Przed samym wyjazdem Osmana z Carogrodu wybucha rokosz wojskowy, podżegany przez matkę byłego sułtana Mustafy, która chce syna wprowadzić na tron z powrotem. Napróżno wielki wezyr Dilawer dokazuje cudów waleczności w obronie władcy; sam ginie z rąk buntowników, a Osman uwięziony, prowadzony na nędznej szkapie w pohańbieniu przez ulice miasta, zostaje uduszony u wrót więzienia.

Ta historyczna osnowa urozmaicona została przez poetę licznemi dygresjami, wstawkami o charakterze romantyczno-awanturniczym, przygodami prawdziwych i zmyślonych bohaterów tych wydarzeń, a nawet interwencją duchów piekielnych. Element fantastyki zawierają zwłaszcza przygody pięknej amazonki, córki Mogoła, Sokolicy (n. p. porwanie przez dowodzoną przez nią drużynę amazonek. kilku panien polskich pod samą Warszawą, a następnie odbicie ich przez królewicza Władysława), wyprawa zmyślonej narzeczonej Koreckiego, Krunisławy, do Carogrodu w celu wydobycia ukochanego z niewoli tureckiej, — wogóle te wszystkie miejsca, gdzie autor odbiegał od prawdy historycznej (o którą zresztą zbytnio mu nie chodziło) i puszczał wodze wyobraźni poetyckiej. Co do prawdy historycznej i co do wierności w odtwarzaniu tła obyczajowego, to jest ich dużo w tych pieśniach, gdzie mowa o Turkach i o stosunkach na dworze sułtańskim, sprawy te bowiem były poecie znane z naocznego doświadczenia, lub przynajmniej bardzo bliskie; natomiast o Polsce zdaje się poeta wiedzieć niewiele, wskutek czego obrazom bitwy chocimskiej, czy też poselstwa Kizlar-agi na dworze warszawskim, brak plastyki i siły wyrazu. Rozmach epicki, w całem tego słowa znaczeniu, posiadają właściwie dopiero sceny z rokoszu wojskowego w Carogrodzie, tchnące życiem i kapitalną dynamiką, a nawet — gdzieniegdzie — ekspresją iscie dramatyczną. Niektóre ustępy odznaczają się natomiast piękną rozlewnością liryczną (n. p. żale miłosne Krunisławy, zawodzenia branki serbskiej Słoneczniczy, więzionej przemocą do haremu sułtana). Pewną sztuczność i przesadę niektórych ustępów i metafor tłumaczy prof. Rešetar wpływami maniery, panującej ówcześnie w literaturze włoskiej, maniery od której naogół Gundulić umiał się wyzwolić.

Ponieważ Władysław, bawiąc we Włoszech, odwiedził w Ankonie rodzinę Gundulić'ów (z innej linji), przyczem nie jest wykluczonem, że był tam wówczas i poeta, istnieją przypuszczenia, że osobiste zetknięcie się z przyszłym królem polskim, opromienionym wówczas glorją niedawnej „przewagi chocimskiej" wywarło silny wpływ na charakter i ton poematu; fakt, że plan pierwotny poematu był najpierw nieco odmienny, a potem został znacznie rozszerzony, zdaje się potwierdzać tę hypotezę.

Przekład Cz. J. Kozłowskiego, niezwykle utrudniony przez to, że poemat pisany jest ośmiozgłoskowcem, tak mało podatnym do wlania weń szerokiego tchu epopei, zasługuje na pełne uznanie. W miarę archaizowany, gładki i rytmiczny, gdzie trzeba rozlewny i miękki, gdzieindziej znowu dostatecznie twardy i dźwięczny, by uwydatnić nastrój bitewno - rycerski, język przekładu odznacza się bogactwem słownictwa i różnolitością rymów. Dzieło, pięknie i starannie wydane, ozdobione zostało kilku ilustracjami, m. in. staremi wizerunkami Dubrownika, Carogrodu, Warszawy, planem bitwy chocimskiej, portretami monarchów i t. p. Epopeja jugosłowiańska będzie odtąd dostępna całemu społeczeństwu polskiemu, które — niestety — nie odznaczało się dotąd szeroką znajomością literatury bratniego narodu słowiańskiego.

Bronisław Borkowski.

*) *Ivan Gundulić: Osman.* Poemat historyczny o wojnie chocimskiej z r. 1621 w XX pieśniach. Poemat przełożył Czesław Jastrzębiec Kozłowski. Bibljoteka Jugosłowiańska, pod redakcją prof. Juljusza Benesića. Tom IV. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej S. A. Str. 475.

**) Pieśni XIV-ta i XV-ta są uzupełnieniami pióra Ivana Mažuranića, tekst poematu jest bowiem niekompletny i pieśni tych brak we wszystkich rękopisach.

IVAN GUNDULIĆ

Śmierć Dilawera

(Fragment z poematu „Osman").

Jak w dąbrowie, gdy obława
pędzi wtrop srogiego dzika,
zprzodu, ztyłu, zlewa, zprawa
mnóstwo za nim psów pomyka,
a odyniec szczerzy kielce,
groźnie chrząka i szczeć jeży,
że się nawet lęka wielce
ten, co pierwszy za nim bieży:
tak i on, stanąwszy, czeka.
Lecz nikomu nie jest pilno
zbliska natrzeć na człowieka,
co odwagą słynie silną.
Do wezyra więc się boi
podejść każdy z tych nicponi,
on zaś twardo, mocno stoi
z dereniowym kijem w dłoni.
Dziarsko wznoszą brzeszczot nagi,
śmierci nań wzywają chyżej,
ale nie ma nikt odwagi
bić się z nim, podszedłszy bliżej.
On tymczasem, pełen męstwa,
kij oburącz krzepko chwyta
i tam runie, kędy gęstwa
przeciwników stoi zbita.
Jak gdy ptactwo wszędzie wokół,
stadem go otoczy licznem,
ostrym szponem walczy sokół,
bije skrzydłem błyskawicznem
i raz tego ciężko dziobnie,
raz drugiego pod się bierze,
aż wygląda krew podobnie
rosie, a śniegowi — pierze:
tak Dilawer teraz dzielny
skoczy, tam i sam się rzuci,
sieje ciosów grad śmiertelny,
wali, chłoszcze, trąca, młóci.
Szable, łuki, tarcz mosiężna —
w krwi się wszystko topi zwolna...
Ach, do czegóż ręka mężna
bezbronnego czleka zdolna!...

...Wtedy wezyr kij strzaskany
rzuca, tarcz i szablę z ziemi
bierze, między rokoszany
ją znalazłszy zabitemi,
lewą nogę wprzód wypręży
i przyklęka na niej ździebko,
ukrył pierś pod stal pawęży,
skroń do łokcia przytknął krzepko,
drugą ręką wnet wyima
szablę i przy lewej nodze
mocno pochwę jej przytrzyma,
czubkiem w serce mierząc srodze.
Derwisz groźną wziął postawę,
odkrytego broni uda,
biodro wciąż osłania prawe,
gotów skoczyć gdy się uda.
Cały się na lewej stopie
trzyma rycerz ten szalony,
ponad szablą zaś w pochopie
dzierży łokieć podniesiony.
Przeciw sobie wściekle biegą;
zamierzają się żelazem;
jeden zabić chce drugiego,
śmiga szablą raz za razem...

...Czując chwile swe ostatnie,
wezyr w głowę, piersi, ręce
raz po razu wroga płatnie,
który cofa się naprędce,
a on ściga go zajadle
i naciera nań, by rzeka
co, rwąc zgóry prostopadle,
wszystko łamie, kruszy, sieka.
Lecz zbir jakiś, który patrzy
na opały Derwiszowe,
do wezyra się podkradłszy
ztyłu go uderza w głowę.
z wielką siłą w potylicę
ciosem zdzielił go obucha;
temu krew zalewa lice,
pada na ziem, jak bez ducha.
Widząc więc, że upadł Turek,
runą nań wataha całą;
z ludzi nad nim wzrósł pagórek
przywalając jego ciało.
Woła Derwisz, depcząc wroga:
„Byłeś pierwszy po sułtanie,
teraz kopie się ma noga!
Rzygaj duszę! Mrzyj, szatanie!"
Lecz Dilawer już nie słucha
wyzwisk tych i nie usłyszy:
przedtem już wyzionął ducha,
leży zimny, w wiecznej ciszy.

Spolszczył C. Jastrzębiec Kozłowski.

Ante Dukić

Notatka bio-bibljograficzna

Ante Dukić, wybitnie utalentowany poeta jugosłowiański, urodził się w 1867 r. Po ukończeniu szkół, pracował dłuższy czas jako pomocnik nauczyciela. Następnie stał się normalnym nauczycielem gimnazjalnym. W roku 1905 przechodzi ostatecznie do służby państwowej i zostaje profesorem w żeńskiem seminarjum nauczycielskiem. Od 1923 współpracuje nader czynnie w wydawnictwie podręczników szkolnych.

Z prac literackich, mimo słabego zdrowia i nawału zajęć pedagogicznych, nigdy właściwie nie rezygnował. Jego „Iz dnevnika jednog magarca" (Dzienniki półgłówka) zostało przetłumaczone na język słowacki, angielski, pozatem istnieją rękopisy przekładów tej powieści na język włoski i polski — ten ostatni przekład pióra Wiktora Bazielicha.

W roku 1929 wydał „Spojrzenia na życie i świat", które już w dwa lata później doczekały się ponownego wydania. Ostatnio ukazał się duży i pięknie wydany zbiór jego poezyj pt. „Od świtu do zmierzchu"

Życie autora układało się bardzo ciężko; ustawiczna walka o byt, praca nad siły i przeważnie nie współmierna z najgłębszemi jego zainteresowaniami. trapiące go choroby, rozgoryczenie spowodowane słabym bardzo oddźwiękiem, jaki jego poważna, w sobie skupiona twórczość znajdowała w coraz mniej intelektualnem nastawieniu współczesnych... Z wywiadów, których Ante Dukić udzielił z okazji 65-lecia swych urodzin (1932), wieje melancholja i pesymizm. „Daj mi Boże, — prosi poeta w jednym ze swych wierszy, — umrzeć na udar serca, a zmartwychwstać wówczas, gdy ludzie — będą ludźmi".

Byłoby dobrze, gdyby się znalazł tłumacz, któryby udostępnił czytelnikom polskim powieści i poezje tego twórcy, rozmiłowanego w najwyższych ideałach ludzkości, a krajowi naszemu nader przyjaznego.

w-c-i.

Religijne oblicze Jugosławji

Ks. Wacław Kneblewski: Religijne oblicze Jugosławji. (Odbitka z Ateneum Kapłańskiego, Tom. 31).

Na terenie współpracy polsko-jugosłowiańskiej dużą rolę odegrał znakomity podróżnik i literat, ksiądz redaktor Wacław Kneblewski. Już w 1931 r., kiedy tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi nawiedziło Południową Serbję, na pograniczu Bułgarji i Grecji, udaje się ks. Kneblewski do Jugosławji jako nadzwyczajny minister Rządu polskiego, celem wyrażenia współczucia zarówno królowi Aleksandrowi, jak i jego narodowi. Na specjalnej audjencji, wspólnie z min. pełnomocnym Rzeczypospolitej p. W. Babińskim, w pałacu letnim w Dedinje, dopełnił ks. Kneblewski swej historycznej misji, przyjęty z wielką serdecznością przez króla Aleksandra.

Tej właśnie misji zawdzięczamy ciekawą pracę o prawdziwej mozajce wyznań religijnych Jugosławji. Jest to może jedyny kraj słowiański, tak różnorodny pod tym względem. W zjednoczonem królestwie Jugosławji wszystkie wyznania są wobec państwa równe. Najwięcej wyznawców posiada prawosławie, obok nich niewiele mniej katolicyzm, miljonową mniejszość stanowią mahometanie, wreszcie są tam Żydzi, protestanci i różne drobniejsze sekty. Nic też dziwnego, że ta istna wieża Babel prowadziła ze sobą zaciętą walkę wyznaniową, w celu uzyskania przewagi religijnej. Ucierpiał na tem najwięcej katolicyzm. Przewaga została po stronie Islamu, który liczy obecnie ponad miljon wyznawców. Mają oni pewną autonomję religijną odziedziczoną jeszcze po Austrji.

Dzieło ks. Kneblewskiego omawia z całą dokładnością okoliczności, sprzyjające fermentacji wyznaniowej Jugosławji, których nie sposób na tem miejscu szczegółowo wymienić. Podkreślić jednak należy, że praca ks. Kneblewskiego, w kierunku zapoznania nas z bratnim narodem i zespolenia z nim duchowo, zasługuje na głębszą uwagę.

Tadeusz Gierut.

Z literatury słowiańskiej

Prace 2-go ukraińskiego kongresu naukowego, który odbył się w Pradze w marcu roku 1932, wydano w niezbyt obszernym tomie, nakładem Ukraińskiego Akademickiego Komitetu. Książka informuje o organizacji i pracach Kongresu i daje przegląd działalności naukowej ukraińskiej emigracji. Tom zamykają skróty i tezy referatów na kongresie przedstawionych.

„Nikola Szuhaj, zbójnik", powieść Iwana Olbrachta przełożono na język duński. Książka ta w bardzo krótkim czasie została przetłumaczona na szereg języków europejskich jako to na język niemiecki, angielski, rosyjski, ukraiński, kroacki. Ma ukazać się także w wydawnictwie amerykańskiem.

Wybór poezyj Jana Nerudy, jednego z największych poetów czeskich wydano w Pradze w opracowaniu Karola Polaka. Polak jest znanym badaczem Nerudy. To też jego wstęp do antologji, zawierający krótką biografję i rozważania krytyczno-estetyczne, oraz komentarze do poszczególnych utworów, daje możliwie dokładny i krytycznie opracowany pogląd na życie i twórczość poety.

Książka Louis Barthou (który jest nietylko znanym politykiem, lecz i pisarzem) nosząca tytuł „La vie amoureuse de Richard Wagner", została przełożona na język czeski. Autor opatrzył przekład przedmową.

Wsiewołod Iwanow wydał nową powieść pt. „Przygoda fakira". Powieść ta jest owocem 4-letniej pracy. Treścią jej są przeżycia własne autora.

Nakładem Towarzystwa dla badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu ukazały się dwie książki. Jedna z nich, nosząca tytuł „Z piśmiennictwa rosyjskiego i ukraińskiego", zawiera zbiór artykułów drukowanych uprzednio w „Przeglądzie Współczesnym", jak np. artykuły: W. Chodasewicza o literaturze sowieckiej, E. Małaniuka o literaturze ukraińskiej i Tarasie Szewczence, F. Sawickiego o eurazjaniźmie, S. Hessena o kierunkach w pedagogice sowieckiej i wiele innych. Druga książka to „Projekt transkrypcji z języka rosyjskiego na język polski",

Krytyka rozumu twórczego (3)

Doszliśmy już, w naszej krytyce rozumu twórczego, aż do jego jądra i podstawy, którą jest intymne ustosunkowanie czterech elementów procesu twórczego; są niemi: 1) podmiot absolutny (stwórca), 2) jego treść czysta, 3) jego forma czysta, 4) przedmiot absolutny (tworzywo). Wiemy dalej, że podmiot absolutny i przedmiot absolutny, w ich nagości niedosięgalnej, są składnikami granicznemi procesu twórczego, zawsze większemi od tego, co z nich udało się ująć w Treści Czystej t. j. w idei transcendentalnej rozumu twórczego, i w Formie Czystej t. j. w upostaciowaniach dzieła tworzonego. Dlatego odróżniliśmy związek dwu tych składników granicznych będących nie czem innem, jak *nieskończonością absolutną* wiedzy samej w sobie, od związku dwu składników właściwych procesu twórczego (treści i formy czystej), będących *nieskończonością względną*, t. j. aktualizującą się i oglądającą w skończonem.

W związku z tem wyłonił się problemat samej możliwości takiej ekshibicji estetycznej wiedzy samej w sobie, problemat sformułowany w zdaniu: jak możliwem jest postaciowanie wogóle? To znowuż doprowadziło do rozróżnienia genetycznego pomiędzy postaciowaniem naturalnem (w zwykłych oglądach zmysłowych) a postaciowaniem sztucznem, jakie odbywa się podczas tworzenia dzieł sztuki. Kryterjum tego rozróżnienia otrzymaliśmy trojakie: 1) wytwory postaciowania naturalnego (n. p. *ogląd* drzewa za oknem, lub *obraz* jego wywołany w pamięci) są konstrukcjami formalnemi, powstałemi poza wiedzą i wolą podmiotu, naskutek reakcji bezwładnej zmysłów na nieznane nam co do swej istoty bodźce zewnętrzne, — podczas gdy konstrukcje formalne postaciowania sztucznego nie mogą powstać bez twórczego udziału świadomego podmiotu; 2) wytwory postaciowania naturalnego są zawsze *tylko indywidualne* (jako byty gotowe, dane), zaś dzieła sztuki są to ustosunkowania indywidualności z powszechnością (jako organiczne związki bytu z wiedzą); 3) wytwory postaciowania naturalnego umieszczone są w heteronomicznej przestrzeni i heteronomicznym czasie, — natomiast wytwarzanie dzieł sztuki odbywa się w autonomicznej przestrzeni i w autonomicznym czasie.

To ostatnie jest najtrudniejsze do zrozumienia i do przyjęcia, to też zagadnieniu temu poświęcę nieco więcej uwagi. Wydaje się niepodobieństwem udowodnić, że produkty formowania estetycznego, zwane potocznie dziełami sztuki, istnieją w jakiś odmienny sposób, niż zwykłe przedmioty czaso-przestrzenne, takie jak n. p. domy, zwierzęta, lub ból doświadczany podczas rwania zęba. Toteż postulowane przezemnie zdwojenie przestrzeni i czasu zdaje się być — na pierwszy rzut oka — dowolne, a nawet niedopuszczalne. Iluzja ta poglądu potocznego ma swą przyczynę: 1) w istnieniu dyscyplin estetycznych, których produkty bytują *także* i w heteronomicznej przestrzeni i czasie (nietylko w autonomicznych), 2) w wadliwem podejściu do sztuki od strony gotowego dzieła, a nie od strony samego procesu twórczego, będącego właściwym przedmiotem estetyki, t. j. w podejściu typowo receptywnem. Gdy się — mówiąc o sztuce — ma na myśli jakąś daną, poszczególną rzeźbę, obraz, czy konstrukcję architektoniczną, n. p. katedrę gotycką, trudno zaprzeczyć, że bytują one w heteronomicznej przestrzeni. Mogę w każdej chwili pójść na plac, czy na wystawę obrazów i wskazać tę katedrę, wskazać ten obraz czy rzeźbę, co dowodzi ich realnego, stałego, indywidualnego bytowania w tej przestrzeni. Mogę też patrzeć na nie, nie jak na dzieła sztuki (t. j. nie przy współudziale świadomego i celowego aktu kontemplacji estetycznej, odnajdującego jedność związku w wielości szczegółów i fragmentów dzieła), lecz jak na zwykły przedmiot; powstanie wówczas ogląd prosty, wytwór postaciowania naturalnego, jako bezwładna reakcja zmysłu wzroku na bodziec zewnętrzny. Pozornie będzie to walny dowód na istnienie dzieł sztuki w tej samej przestrzeni, w jakiej istnieją wytwory postaciowania naturalnego. Znacznie już trudniej będzie dowieść wyłącznego istnienia w czasie heteronomicznym dzieł muzycznych, ale i tu przeciwnik autonomizacji czasu w postaciowaniach sztucznych znajdzie przynajmniej pozór pozytywnego rozwiązania problemu.

Ale i przy tak grubem, empirycznem podejściu do zagadnienia sztuki, pogląd potoczny nie da się w żaden sposób utrzymać, w miarę, jak przechodzić będziemy od sztuk wspartych na tworzywie materjalnem do sztuk o tworzywie myślnem, refleksyjnem, moralnem, wreszcie transcendentalnem. Architektura buduje z kamienia, rzeźba potrzebuje gliny i marmuru, obraz powstaje z barw i linij, rozmieszczanych na materjalnej płaszczyźnie, utwór muzyczny jest zorganizowanem następstwem tonów, a więc elementów w pewnej mierze psychofizycznych. Ale już dramat nie da się ograniczyć do współustosunkowania obrazów przestrzennych i momentów czasowych, gdyż jest on konstrukcją napięć moralnych rozwiązujących się w działanie. W jakim czasie i w jakiej przestrzeni istnieje „Hamlet"? Czy tylko na deskach Teatru Kameralnego w marcu 1934 r., pomiędzy 8-mą a 12-tą wieczorem? A cóż począć z poezją epicką czy liryczną? Gdzie i o jakiej porze, t. j. w którym realnym wycinku heteronomicznej przestrzeni i heteronomicznego czasu znajduje się „Iljada", lub „Wielka Improwizacja" Mickiewicza?

Jest oczywistem, że odrzucenie postulatu autonomicznej przestrzeni i czasu dla wytworów sztucznego postaciowania, doprowadzić musi do beznadziejnych powikłań transcendentalnych i do czystego absurdu, jeżeli nie do skromnego: „wiem, że nic nie wiem", które to wyznanie, pięknie brzmiące w ustach ostrożnego myśliciela, w istocie jest sromotną rezygnacją z najrdzenniejszej dążności rozumu. Przyjęcie natomiast takiej przestrzeni i czasu odrazu wyświetla zagadki napozór nierozwiązalne. Prof. R. Ingarden, w studjum swem p. t. „Zagadnienie tożsamości dzieła muzycznego", antycypował w pewnej mierze to jedynie możliwe rozwiązanie, suponując, że dzieło muzyczne posiada swój własny, autonomiczny czas, w którym bytuje, nie wciskając się wcale w realny jednakowy dla wszystkich ludzi czas (heteronomiczny), chyba tylko w momentach odtwarzania go, n. p. podczas koncertu estradowego. Myli się tylko prof. Ingarden, gdy odmawia tego przywileju innym sztukom, takim jak rzeźba czy malarstwo, których produkty istnieją podług niego — w przeciwieństwie do muzyki — w realnej przestrzeni (o ile dobrze zrozumiałem jego wywód?); fenomen ten bowiem, wynikły z samej wnętrznej struktury procesu twórczego, należy koniecznie rozciągnąć na wszelkie wytwory postaciowania sztucznego. Rzeźba bytuje *także* i w heteronomicznej przestrzeni jedynie ze względu na rodzaj tworzywa, z którego została zbudowana, ewentualnie— jeżeli jest to pomnik, stojący na placu publicznym — ze względu na warunki estetyczne miejsca (tła), z którem została związana; w rdzennej swej istocie jednak, jako Forma Czysta, odnosząca się do czystego aspektu Tajemnicy Istnienia, trwającego w podmiocie tworzącym podczas procesu formowania, rzeźba ta znajduje się w swej własnej, autonomicznej przestrzeni, „wykrojonej" niejako z przestrzeni idealnej w umyśle artysty, w której to przestrzeni umiejscowiona jest wizja estetyczna w czasie procesu twórczego.

Rozumie się samo przez się, że aby uznać możliwość istnienia w rozumie twórczym autonomicznego czasu i autonomicznej przestrzeni, trzeba wprzód oderwać się od dzieła gotowego i podjąć analizę samego procesu twórczego; trzeba też wyjść poza „ja" empiryczne, przedmiot zmysłu wewnętrznego, a w najlepszym razie podmiot uczuć, doznawanych, jako reakcje bezwładne na różnorodne bodźce psychofizyczne. To „ja" empiryczne jest takiem samem zjawiskiem, jak i inne fenomeny świata przedmiotowego, znajduje się więc samo, wraz z niemi, w heteronomicznym czasie i (pośrednio) w heteronomicznej przestrzeni; wiemy już, że proces twórczy, którego cztery podstawowe składniki zostały podane powyżej, odbywa się nie w niem, lecz w podmiocie prawdziwym, w „Ja" czystem, jako forma absolutna dołączana samorzutnie do treści absolutnej tego podmiotu, (byt do samowiedzy). Ponieważ podmiot ten, będący czystą możebnością konstruowania i określania, istnieje (ujmuje sam siebie) tylko o tyle, o ile *tworzy*, więc właściwe dzieła sztuki są to — jak poznaliśmy — dzieła tworzone rozumu twórczego, procesy konstruktywne tożsame z rdzenną istotą podmiotu absolutnego. Że zaś podmiot ten znajduje się całkowicie poza sferą gotowego, istniejącego świata, poza sferą zjawisk, powstających w heteronomicznym czasie i przestrzeni, jego dzieła tworzone muszą być konstruowane zupełnie gdzieindziej, niż wytwory postaciowania naturalnego. To „gdzieindziej" jest nie czem innem, jak autonomicznym czasem i autonomiczną przestrzenią.

Spróbujmy sprecyzować to jeszcze dokładniej: Heteronomiczna przestrzeń i czas mogą być conajwyżej miejscem dla dzieł gotowych, już wytworzonych (albo raczej objektów materjalnych, na których zeksterjoryzował się proces tworzenia), lecz nigdy dla samych procesów twórczych, będących właściwemi dziełami sztuki. Procesy twórcze, jako szeregi ciągłe aktów stwórczych i ich wyrazów w konstrukcjach formalnych czystych, muszą mieć tedy swe miejsce absolutne, w któremby się mogły urzeczywistniać. Ponieważ miejsce to nie jest dane, musi być wytworzone przez sam podmiot. Podmiot tworzący nie może czerpać znikąd, oprócz samego siebie, a więc miejscem absolutnem procesów twórczych winien być on sam, w funkcji zupełnej bierności, czyli podłoża, w któremby się mogły mieścić obok siebie: 1) następstwo ciągłe aktów stwórczych, 2) nagromadzone współistnienie rezultatów każdego już dokonanego aktu formowania. Otóż mówiłem już, że u podstawy procesu twórczego znajdują się dwa jego składniki graniczne: podmiot absolutny, jako warunkujący i przedmiot absolutny, jako warunkowany, którym jest „tenże sam podmiot biorący siebie za przedmiot". Pojęcie *warunkującego* implikuje maksimum czynności, pojęcie *warunkowanego* zaś maksimum bierności. Łatwo teraz zauważyć, zreasumowawszy te określenia, że miejscem absolutnem procesów twórczych będzie ów czwarty składnik, o który wspiera się podmiotowość absolutna wiedzy samej w sobie, a mianowicie przedmiotowość absolutna, tworzywo czyste, element warunkowany.

Ponieważ miejsce to umożliwia *następstwo* ciągłe aktów stwórczych, oraz *współistnienie* obok siebie elementów czystej konstrukcji formalnej, w jakiej się treści czyste aktów stwórczych wyrażają, jest ono najoczywiściej idealnym, autonomicznym czasem i idealną, autonomiczną przestrzenią; samo pojęcie następczości ciągłej implikuje bowiem czas, zaś samo współistnienie obok siebie implikuje już przestrzeń. Doszliśmy więc do odkrycia, które przyczyni się w sposób walny do wyświetlenia zagadki samego sposobu (możliwości) sztucznego postaciowania. Widzimy mianowicie, że podmiot nieskończonej, niedościgłej wiedzy samej w sobie, podmiot — o którym mówiliśmy, że ostaje się ponad wszelkiem orzeczeniem — ma już punkt zaczepienia w swej nienasyconej dążności do przeniknięcia swej Tajemnicy Istnienia. Tym punktem zaczepienia, jedynym, lecz arcyważnym, jest zdolność absolutnie transcendentnego podmiotu naszej samowiedzy *do stawania się czasem i przestrzenią dla odbywających się w nim procesów twórczych*. Tyle tylko dosięga on, poprzez wciąż powtarzane procesy twórcze, ze swej przedmiotowości absolutnej, o której mówiliśmy, że jest dlań wiecznie jątrzącym problematem niewiedzy własnych swych przeznaczeń i własnego swego sposobu istnienia. Niewiedza ta, nieznane, Tajemnica Istnienia, (absolut w świadomości) wywołuje dążność ustawiczną uwarunkowanego w ten sposób „Ja" absolutnego do niewarunkowości, którą to dążność, *koniecznie* mu właściwą, usiłuje on zamienić w *wolny* akt konstruowania sobie swej przedmiotowości absolutnej. Czynność stąd wynikła, ugruntowana na usiłowaniu zamiany koniecznego aktu tworzenia w wolny akt stwarzania, jest — jakto już definjowałem — Sztuką.

Jakkolwiek czas autonomiczny i przestrzeń autonomiczna są dotąd jedyną zdobyczą podmiotu absolutnego w sferze jego przedmiotowości absolutnej, to jednak rozporządzanie niemi jest już zupełnie wystarczające do powstania czystego fenomenu estetycznego, jakim jest proces sztucznego postaciowania. Zauważmy, że kompozycja dzieł sztuki, odbywająca się w umyśle artysty i odtwarzana następnie w procesie ich realizacji, polega całkowicie na użytkowaniu przez podmiot tworzący owego *tworzywa, czystego* czerpanego z czystych, autonomicznych pojęć przestrzeni i czasu. Kompozycja jest to celowe i świadome rozmieszczanie elementów statycznych i napięć dynamicznych dzieła tworzonego w idealnej przestrzeni, oraz wyznaczanie ich następczości w idealnym czasie. W tem ujęciu kompozycja jest organizowaniem przestrzeni absolutnej i konstruowaniem czasu absolutnego, jako własnego, autonomicznego miejsca dla mającego powstać dzieła. Czysty *akt kompozycji,* uchwycony in nuce, wyłamuje się zupełnie z warunków heteronomicznej przestrzeni i czasu. Co do przestrzeni jest to tak oczywiste, że niema potrzeby uzasadniania tego twierdzenia, nikt bowiem nie przypuszcza nawet, aby plan umysłowy całokształtu dzieła, rozmieszczony był w realnej przestrzeni naokoło artysty, tak jak są w niej rozmieszczone przedmioty rzeczywiste. Ale i co do czasu wątpliwości tu być nie może. Czas całokształtu dzieła muzycznego, skonstruowany w swej absolutnej jedni przez czysty akt kompozycji, zachodzący w umyśle, jest czemś zupełnie różnem od czasu wykonywania tego dzieła przez orkiestrę, czasu heteronomicznego, rzeczywistego i jednakowego dla wszystkich (objektywnie), dającego się obliczyć w minutach, i związanego z obrotem ziemi dokoła słońca (rokiem, miesiącem, dniem tygodnia, porą dnia i t. d.). Czas heteronomiczny musi być przebieżony kolejno, etapami, w ten sposób, że w danym momencie istnieje w nim tylko jeden indywidualny szczegół czy fragment odtwarzanej symfonji Beethovena; natomiast czas autonomiczny tej symfonji, będący miejscem absolutnem całego systematu jej napięć emocjonalnych, rytmów, kontrapunktycznych ustosunkowań i t. p., powstaje cały odrazu, jako całostka syntetyczna, której zróżniczkowania otrzymamy dopiero przez pochód progresywny, odsłaniający wielość uorganizowaną w jedni pierwotnej dzieła. Takie zrodzenie samorzutne autonomicznego czasu dzieła przez podmiot tworzący jest bardzo trudne do pojęcia dla jednostek nietwórczych, ale najintymniej znane każdemu prawdziwemu artyście; gdyby ono nie nastąpiło, jako akt pierwotnej jedności w wielości, nie odnaleźlibyśmy potem w żaden sposób tej jedności w wielości w dokonanem, gotowem dziele, a temsamem nie moglibyśmy go uznać za dzieło sztuki. Możebność tego zrodzenia odkryliśmy już w zdolności podmiotu absolutnego do nadawania (formalnie przynajmniej) przedmiotowości absolutnej konstruowanym przez siebie procesom twórczym t. j. do stawania się ich wewnętrznym czasem i ich wewnętrzną przestrzenią. Tylko dzięki tej zdolności uprzedmiotowienia aktów tak absolutnie podmiotowych, jakiemi są akty samostwórcze powszechnej, niezindywidualizowanej wiedzy, proces twórczy może im nadać byt, indywidualność, poszczególność, skrystalizować wiecznie wymykającą się nieskończoną samorzutność stwórczą w formach zamkniętych, skończonych.

Autonomiczny czas i autonomiczna przestrzeń dzieł sztuki są czystemi hypostazami bytu, przez które jaźń nasza uczestniczy już w pewnej mierze w bycie absolutnym, poszukiwanym nienasycenie przez podmiot absolutny naszej samowiedzy. Hypostazy te stanowią podstawę transcendentną, o którą wiedza sama w sobie może się wesprzeć i stanąć przez to ponad swą Treścią Czystą i Formą Czystą, aby kierować ich grą wzajemną jako narzędziem swej autokreacji.

Mamy już istotę absolutną i miejsce absolutne procesu twórczego. Czy jednak wyjaśnia to nam już całą zagadkę postaciowania? Niewątpliwie nie, bo choć wiemy już (prócz tego) jakie są wewnętrzne, właściwe składniki procesu twórczego, t. zn. na czem polega nieskończone odnawianie się aktu twórczego w procesie formowania, nie określiliśmy jeszcze natury władz, w czynności tej zatrudnionych; zaś bez tego określenia będziemy mieli tylko szemat abstrakcyjny Treści Czystej i Formy Czystej, a nie ich wycechowanie in concreto. Spróbujmy tedy rozpatrzyć zkolei i to zagadnienie.

Aby powstało upostaciowanie estetyczne, potrzebne są, prócz nagiej samości podmiotu tworzącego i nagiej inności poszukiwanego dlań orzeczenia (sposobu bycia), władze i narzędzia rozumu twórczego, któreby tej samości i tej inności nadawały jakąś postać specyficznie określoną. Aby odnaleźć ich zespół musimy sięgnąć do ich warunków genetycznych w samym rozumie twórczym, t. j. w samej pierwotnej jedności osobowości, z której wyprowadzać się muszą — z koniecznością apodyktyczną — wszystkie jej pochodne rozgałęzienia. Warunki te to trzy pierwotne potencjalności tego rozumu, władza produkowania myśli wogóle, władza produkowania czynności wogóle, oraz władza produkowania sądów teleologicznych wogóle; trzy te władze oznaczył Kant mianem rozumu spekulatywnego, rozumu praktycznego i rozumu teleologicznego. Rozum twórczy byłby więc, ze względu na to rozróżnienie, aktem elementarnym, wyłaniającym z siebie ideę tego *co jest* (i może być poznane), tego *co być powinno* (i ma być uczynione) i tego *co jest tak, jak być powinno,* w którem to ostatniem pojęciu mieści się już in nuce zasada racji bytu. Idea pierwsza implikuje nakaz poznawania, idea druga nakaz działania, wreszcie idea trzecia nakaz stwarzania. Otóż w procesie twórczym zatrudnione są wszystkie te trzy funkcje rozumu. Rozpatrzmy je w porządku odwrotnym:

Zasada racji bytu rozumu twórczego, postulująca zamianę koniecznej dążności ku absolutowi na wolną czynność konstruktywną: akt stwarzania, — mieści się w podmiocie absolutnym, samoujmującym się w swej przedmiotowości absolutnej (co stanowi przyczynę i cel jego rzeczywistości zarówno myślnej jak biologicznej). Rozum teleologiczny jest to więc owo suprarzeczywiste ustosunkowanie warunkującego i warunkowanego (tworzącego i tworzywa) w ich niedościgłej i nieujmowalnej — a więc tajemniczej — istocie metafizycznej. Rozum praktyczny jest to treść czysta podmiotu absolutnego, ustanawiana jako idea transcendentalna rozumu twórczego, mająca być wyrażoną w dziele tworzonem, a więc będąca czystą możebnością, tem co być powinno (lecz jeszcze nie jest). Rozum spekulatywny wreszcie to forma czysta przedmiotu absolutnego, rozum twórczy wyrażony w dziele tworzonem, a więc będący już istotnością, tem co jest (ostaje się w bycie). W rozumie praktycznym rozpoznajemy zjaw intensywności transcendentalnej podmiotu absolutnego, natężenie woli ku działaniu, dla wydobycia z podmiotu czynności samostwórczej, t. j. będącej swoim własnym celem; w rozumie spekulatywnym natomiast rozpoznajemy ekstenzywność logiczną przedmiotu absolutnego, roztężenie się myśli ku samopoznaniu, dla określenia przedmiotu co do warunków inteligibilnych jego istnienia przez się. Źródłem natężności woli jest dążność od życia fizycznego do życia hyperfizycznego, źródłem roztężności myśli znowuż dążność od względności do absolutu. Obydwie te dążności znajdują się więc u podstawy Treści Czystej i Formy Czystej procesu twórczego, jako motyw dobra i motyw prawdy, działają jednakowoż tylko jako narzędzia pomocnicze, zaledwo widoczne poprzez motyw zasadniczy piękna, czyli dążność aktu twórczego heteronomicznie danego ku czystej autonomji stwórczej.

(D. c. n.) *Jerzy Braun.*

W odpowiedzi na artykuł „Jak czytać poetę"

Artykuł mój p. t. „Odkrywająca i zakrywająca norwidologja" w 11-tym zeszłorocznym „norwidowskim" zeszycie „Drogi" nie został bez echa, owszem posłużył za punkt wyjścia do ciekawej dyskusji nad najbardziej podstawowemi sprawami w stosunku naszym do dzieł sztuki, w szczególności poezji, nad kwestjami formy a treści, piękna a prawdy. Dlatego, choć gwałtownie zaatakowany, cieszę się raczej niż smucę, rzadką bowiem jest rzeczą dla krytyka w Polsce czuć, że nie pisze tylko dla siebie, żeby zapełnić stronice perjodyku, że to co poruszył obchodzi innych, tembardziej gdy wśród nich znajdują się umysły tak głębokie i tak świetne pióra jak Jerzy Braun lub Konstanty Régamey. Z urzędu poniekąd, jako „referent", który odpowiada pod koniec dyskusji swym oponentom, zabieram z kolei głos, zastrzegając się, że z wielu względów nie będę w odpowiedzi podejmował najbardziej merytorycznych, z punktu widzenia moich oponentów, zarzutów.

Przedewszystkiem piszę tę odpowiedź w warunkach szczególnych, na marginesie zajęć „obowiązkowych" pochłaniających w chwili obecnej cały mój czas, powtóre, nie mam zamiaru zapuszczać się w dziedzinę „estetyki transcendentalnej", choć wiem, że pominę przez to najbardziej podstawowe kwestje, których stawianie przynosi zaszczyt J. Braunowi i jego pismu, wyróżniając je z pośród płycizny tak licznych u nas perjodyków, rzekomo literackich, w gruncie rzeczy żerujących na literaturze, dostarczającej im tylko sposobności do anegdociarstwa, w najlepszym razie do wypadów publicystycznych.

Ze względu na trudność zasadniczej dyskusji, która, żeby być wyczerpująca, wymagałaby całych tomów, nie jednego artykułu, a i wówczas nie dawałaby żadnej gwarancji przekonania przeciwników w sprawach najbardziej podstawowych, związanych z całokształtem ich filozofji czy też religji, wolę ostatecznie powstrzymać się od poruszania kwestyj spornych a raczej dać pewne wyjaśnienia, podkreślić rzeczy niedość plastycznie, zbyt zwięźle przeze mnie przedstawione i pisać nie o tem co oddala moje poglądy od poglądów J. Brauna, lecz o tem co je zbliża. Tych punktów jest dużo, zaczynając od tytułu „Jak czytać poetę", który to tytuł chciałem nadać swemu studjum o Norwidzie, włączając doń jako przykład drobiazgową analizę jednego z liryków Cyprjana Kamila. Na tę precyzyjną robotę nie starczyło mi czasu — dałem tylko kilka spostrzeżeń o pożądanych i niepożądanych objawach naszego stosunku do Norwida. Że jednak mimo zwięzłości wykładu sporo z moich poglądów na poezję tam ujawniłem i że te poglądy choć nie wyspekulowane filozoficznie a czysto „empiryczne", czy „intuicyjne" nie są zbyt dalekie w swej istocie od praktycznych konsekwencji ugruntowanej filozoficznie estetyki J. Brauna, ukaże uważniejsze porównanie naszych enuncjacyj. Zresztą gdyby było inaczej, gdyby nasze „poetyki normatywne", były tak diametralnie przeciwne nie mógłbym być ani sympatykiem „Zetu" ani zachwyconym czytelnikiem poezji J. Brauna, co na innem stosowniejszem miejscu okazuję. Wyliczmy i te punkty w jego artykule.

1. Zacznijmy od drobnostki: *nie* twierdziłem, że „obrazy przyrody i subtelna erotyka w *A Dorio ad Phrygium* są rzetelniejszą poezją niż najwspanialsze ustępy „*Rzeczy o wolności słowa*", natomiast dałem wyraz przekonaniu „że *pomimo wspaniałych* ustępów... genjusz poetycki Norwida nie w tych traktatach, lecz właśnie w szeregu dzieł „sztuki czystej"... zamanifestował się w sposób najbardziej znaczący dla jego „*artystycznego oblicza*".

2. Nie nawoływałem do „smakowania" wierszy Norwida w znaczeniu, które wyjaśnia szerzej dalszy ustęp artykułu Jerzego Brauna: „zlizywać jakieś niewyraźne smaki i uroki z powierzchni naskórkowej dzieła". Natomiast w zupełnej zgodzie z poglądami J. Brauna zaraz na początku mego artykułu, na str. 1129, potępiłem „naiwniejszych czytelników" którzy „zadawalniali się prostym wdziękiem niektórych najłatwiejszych wierszy... N., lub najbardziej bezpośrednio lirycznemi wartościami innych...", tylko ze względu na bezsilność analizy wobec „zagadki czaru tej poezji" uważałem w konkluzji artykułu *tymczasowo* dostatecznem i niezbędnem „intuicyjne jej odczucie".

3. Że nie można mi imputować postawy zaznaczonej na początku poprzedniego punktu, widać bezpośrednio z moich słów na tejże 1129 str. głoszących iż N. jest „poetą nawskroś cerebralnym, że nietylko jego gnomiczne zewnętrznie utwory, ale i każdy najbardziej liryczny wiersz wymagają uwzględnienia przedewszystkiem tkwiących w nim elementów logiczności przed muzycznemi i plastycznemi, że bez zrozumienia jego filozofji, a tem samem subjektywno - emocjonalnych wartości jego idej, nie można mówić o zrozumieniu poety". I cały następny ustęp jest apologją rozbudowy komentarza filozoficznego do dzieł N. Nie można mi więc zarzucać amputowania Norwida „o głowę".

4. Jak widać z powyższego jestem w najzupełniejszej zgodzie z podstawowemi założeniami artykułu J. Brauna, więc też podpisuję się obu rękoma pod odpowiedniemi ustępami jego, choć skierowanemi przeciwko mnie: ostatnie alinea 1-ej szpalty, prawie cała druga (z pewnemi zastrzeżeniami) a zwłaszcza pierwsze alinea 5-ej szpalty o konstruktywnej roli *celu* dzieła sztuki, oraz idei, jako wyrazu „samej osobowości twórcy". Wydaje mi się, że znak równania możnaby położyć między wartością estetyczną „nieuchwytnych związków" w omawianym ustępie J. Brauna a mojego, kilkakrotnie omawianego (m. in. w związku z Wyspiańskim) pojęcia „poezji czystej" z jej niematerjalnem istnieniem na styku równoległych: logicznego, plastycznego i muzycznego żywiołów każdego dzieła poetyckiego. Zgadzamy się więc co do nieuchwytności istoty poezji, a tem samem niemożności jej zasadzenia na samej ideologji.

5. Najzupełniej również zgadzam się z postulatem J. Brauna, koniecznego dla „pełnej, doskonałej reprodukcji" stanu lirycznego (która jest „ideałem apercypowania dzieła") „stożsamienia się z osobowością twórcy", „intymnego wniknięcia w sam rdzeń" jej, „zrozumienia jego postawy wobec rzeczywistości", „oglądu... idei". Już w słowach cytowanych w p. 3 sformułowałem konieczność tego stanowiska w konkretnym wypadku t. j. w stosunku do Norwida. Żeby dać inne przykłady, jasnem jest, że nie mógłbym w pełni odczuć piękna patrjotycznych wierszy Mickiewicza, gdybym w czasie ich czytania nie stał się emigracyjnym mesjanistą polskim, liryki politycznej Puszkina — bez zidentyfikowania się z duchem imperjalisty rosyjskiego, jakkolwiek oba te stanowiska są, realnie biorąc, bardzo dalekie od mego własnego. Możnaby powiedzieć, że zadanie czytelnika jest czemś w rodzaju „sztuki odtwórczej" np. sztuki aktora; jednak najsilniejsze „przeżywanie" sceniczne roli Makbeta czy Harpagona nie pozwala przypisać danemu aktorowi realnych cech żądzy władzy lub skąpstwa ani imputować mu usprawiedliwiania ich zbrodni na podstawie swoistych systematów moralnych.

6. Jednak, jak z powyższego widać, przyjęcie postulatu wyrażonego na początku poprzedniego punktu nie implikuje zbożnego czerpania myśli z admirowanego twórcy odwrotnie zostawia szerokie pole „relatywizmowi" w stosunku do „ideologji" poety, nawet czyni ją konieczną przy szerszej receptywności w tej dziedzinie, inaczej musielibyśmy z poetów, których czcimy układać jakiś Panteon naszej religji czy filozofji, równie pełnej sprzeczności jak synkretyzm religijny późnego Rzymu, i napewno nie zbyt szanującej właściwe oblicze każdego z uznawanych przez nas twórców. Nie będę się szerzej wdawać w tę sprawę; Konstanty Régamey ugruntował na łamach „Zetu" w związku z obecną polemiką (Nr. 23) tezę, że „skarby metafizyczne nie decydują o pięknie utworów, które leży poza ich ideologją", idąc może dalej w swych wywodach, niż nawet jabym tego pragnął.

To jednak od czego odstąpić nie mogę, to jest negatywny stosunek, a nawet ostre zwalczanie przy publicznych wystąpieniach jako krytyk literacki, tego „polskiego równania" od czasów romantyzmu do dziś nie pozbawionego obiegu: poeta (lub artysta, np. Matejko) = „wieszcz" = prorok, przewodnik narodu = filozof, „ideolog". Możnaby dorzucić jedno jeszcze ogniwo tego łańcucha: święty. Ale o tem później.

7. Zgadzam się, że „dopasowywanie poety do swoich potrzeb", może być równoznaczne z „odnajdywaniem siebie" u czytelnika, a wielorakość tego procederu może świadczyć o „pojemności" poety, o jego uniwersalizmie. Może też jednak świadczyć o mętnej i pozbawionej wszelkiej precyzji ekspresji (o czem mówiłem ex re Wyspiańskiego). A zbytnie fałszowanie ideologji też mówiąc z poznańska „może jednego rozgniewać". Widzieliśmy już to: Krasiński jako bolszewik, Fredro jako karbonarjusz narodowy, Norwid jako pozytywista. Nie cieszy mnie takie „odnajdywanie siebie".

8. Zgadzam się, że „ci wyłuskiwacze ideologji" mogą przeżywać „równie intensywnie a może nawet dogłębniej" ode mnie urok poetycki zawarty w dziełach Norwida, ale w dziedzinie krytyki bierze się w rachubę to o czem piszą, i jakie wartości lub dzieła podnoszą, a nie ich niewyznane przeżycia.

9. Zgadzam się, że „istnieją światy doznań" w sferze moralności, intellektu, „transcendencji czystej", „które nie są prawie apercypowane przez współczesnych", a które, dodam jeszcze, są niewątpliwie potężniejsze, wznioślejsze, „piękniejsze" w pewnym sensie, niż doznania przy czytaniu najlepszych wierszy: kontemplacja gwiezdnego nieba i kategorycznego imperatywu przez Kanta; i bardziej powszechnie pewnie przeżywane, heroiczne poczucie obowiązku w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, np. u wojownika na wojnie. Zawahałbym się jednak przed zastosowaniem do nich przymiotnika „estetyczne"; w każdym jest zupełnie inna kategorja doznań niż doznania przy recepcji dzieł sztuki. Z punktu widzenia sztuki są to tematy w poszukiwaniu autorów, dopiero po równoważnie suggestywnem wcieleniu w kształt artystyczny będą mogły się reprodukować w przeżywaniu i kontemplacji odpowiednich „stanów lirycznych" i wówczas zarówno od strony tematu jak i wcielenia w formę mogą się stać przedmiotem rozważań krytyki. Nie trzeba bowiem zapominać o społecznym charakterze każdej sztuki.

Jako specjalny rozdział w niniejszej odpowiedzi chciałbym potraktować sprawę równie ważną dla mnie ze względów zasadniczych jak osobistych, a mianowicie mego „antybronzownictwa".

a) Przedewszystkiem, co do rzekomej jego genezy: „niechęć do wielkości". Czy ktoś kto np. stwierdza, że Napoleon nie był genjalnym szachistą, nie zaprzeczając jego genjuszowi wodza i organizatora, jest „pomniejszycielem olbrzyma"? od lat młodzieńczych byłem czcicielem Norwida-poety; mój artykuł jest wyrazem tej czci i chęci skierowania uwagi czytelników na ten właśnie aspekt postaci. Nie jest też bynamniej atakiem na Norwida-myśliciela; ani słowem nie chcę pomniejszyć walorów jego myśli, staję tylko w obronie autonomji walorów estetycznych jego dzieła i przy zasadzie prymatu kryterjów estetycznych przy ocenie poety. Co tu ma do rzeczy „niechęć do wielkości"? Ależ wielki pisarz a wielki myśliciel to wcale co innego. Możnaby raczej zarzucić „niechęć do wielkości" przeciwnikom Boya, gdy nie chcą przyznać, że to jest znakomity pisarz, choć płytki a nawet szkodliwy społecznie myśliciel. Jakimiż myślicielami są ci tak wysoko stawiani w swoich literaturach „pieśniarze ludowi": Burns, Kolcow, Lenartowicz? Można bez wahania przyznać tytuł najznakomitszych poetów dwóch ostatnich pokoleń Staffowi i Tuwinowi, nie entuzjazmując się do postawy filozoficznej pierwszego a zgoła odmawiając, zgodnie z powszechną opinją, tytułu myśliciela drugiemu.

b) Trafnie zauważył Jerzy Braun pewną systematyczność w mojej działalności „antybronzowniczej" (w przypisku). Gdyby śledził za nią uważnie, mógłby przytoczyć inne, poza „atakami" na Wyspiańskiego i Norwida (polecam specjalnie do przejrzenia, ze względu na skoncentrowanie na niewielkiej przestrzeni licznych ataków przeciw „wielkościom", mój krótki rzut oka na powojenną literaturę polską, drukowany latem ub. r. w praskim „Slavische Rundschau"). Kampanji tej nie zamierzam przerwać, owszem, gdyby mi sił starczyło, przeprowadziłbym na całej przestrzeni dziejów literatury polskiej. Rewizjonizm jest obowiązkiem w tej atmosferze zakłamania, leniwego nie przystępowania do problematów zawilszych lub do spraw materjalnemi rozmiarami znacznych, np. twórczości pisarzy płodnych, Kraszewskiego, Niemcewicza, lub do literatury drugoplanowej, zapomnianej, a bez której niemożliwe jest zrozumienie atmosfery i współzależności wybitniejszych pisarzy — wreszcie poprostu wśród ciągłego dreptania na miejscu i kontentowania się raz przez kogoś rzuconym i odtąd ustalonym sądem. Obowiązkiem, niezależnie od konieczności przewekslowania całego stosunku do literatury z kryterjów dydaktycznych na jedyne możliwe do przyjęcia, t. j. wynikające z pojęcia literatury, jako dziedziny autonomicznej, jako sztuki. Rewizje te mogą być niekoniecznie in minus: już teraz widać szereg pozycyj, dla których rewizja będzie in plus.

c) Największym błędem jest stawianie tej mojej, więcej dotąd zamierzonej niż realizowanej, akcji rewizyjnej w związek jakikolwiek, genetyczny lub wspólnictwa czy równoległości z „odbronzowniczym procederem" Boya. W jednem działalność tego ostatniego może być pomocną w moich rewizjach, mianowicie jako kasowanie w niektórych wypadkach dodatkowego ogniwa łańcucha równań, mającego obieg w potocznym u nas poglądzie na literaturę (por. p. 6 niniejszego), mianowicie „święty". Jest to ułatwienie krytyce dostępu do najwyższych, nietykalnych w opinji autorytetów, zresztą nielicznych; pozatem, z punktu widzenia rewizji, o której myślę, jest to nietylko drugorzędne, lecz nawet zgoła nieistotne. Wieszcz X może pozostać w aureoli świętości, wcale go to nie uratuje w dziejach literatury, jeśli był marnym pisarzem; literat Y może okazać się ostatnią szują, ale zarazem znakomitym artystą. W istotnych swoich poglądach na literaturę Boy jest upartym tradycjonalistą i głos jego nabrzmiał oburzeniem, gdy przyszło mu mówić o próbach zaktualizowania artystycznego „Wesela" przez innowacje w wystawieniu tego dramatu. To nie przeszkadza, że może przyjść kolej na Wyspiańskiego i że usłyszymy o nim smakowite szczegóły biograficzne. Ale pozatem, w uprawianiu „kompromitacjonizmu" (mówiąc terminologją Irzykowskiego) osobistego, podważenie tradycyjnego stanowiska czyjegoś w literaturze byłoby tylko przeszkodą, zniweczeniem najpierwszego punktu zaczepienia ciekawości publicznej: cóżby nas obchodziło odkrycie, że Żmichowska była lesbijką, gdyby nie uchodziła za znakomitą pisarkę? ileżby zyskała na rozgłosie serja artykułów poświęconych Przybyszewskiemu, gdyby tego pisarza sam czas nie przewartościował automatycznie i nieubłaganie? Wprawdzie, niezależnie od „rangi literackiej" delikwenta, rzeczy te pozostaną świetnemi szkicami obyczajowemi, ozdobą nowelistyki polskiej; ale to nie odpowiada ambicjom autora ani pisma, w którem pisze. To są w zamierzeniu studja literackie, te artykuły o awanturach, miłostkach i śmierci Mickiewicza, ani słowem nie potrącające jednego jego wiersza, lub te zabawne paralele obyczajowości w komedjach Fredry, (który miał syna przed ślubem! tak, musimy przyjąć tę kardynalną rewelację!) z obyczajowością dzisiejszą. Zresztą we „fredrologji" interwencja Boya jest w pewnym zakresie zbawieniem przeciw szerzącym się banialukom; trzeba polecić mu jeszcze przejrzenie wstępu prof. St. Windakiewicza do *Dożywocia* (Bibljoteka Narodowa Nr. 93), może zareaguje na to otchłanne ubóstwo polonistyki, uśmiercającej leniwem lekceważeniem i absolutnym brakiem zmysłu estetycznego perłę teatru polskiego, arcydzieło „czystej formy", jeśli zastosować do niej terminologję Witkacego. Bo też, odbiegając od tematu dodam, jest w dziele Fredry jakaś absencja „bebechowatości": widać to najlepiej przy porównaniu abstrakcyjnych nieco, jakby płaskich sylwetek *Zemsty* z soczystym malowidłem *Sarmatyzmu*. Ale te różnice będą tematem przyszłej „fredrologji"; dla dzisiejszej powinno być ważniejsze zwrócenie uwagi na podobieństwo tych komedyj Fredry i Zabłockiego i powinno się raz odesłać do lamusa cały olbrzymi bagaż zamków odrzykońskich, tradycyj rodzimych, anegdotek od ciotek zasłyszanych, jako źródła Zemsty.

Ale wracam do swej obrony. W jej zakończeniu chciałem jeszcze podnieść jeden zarzut występując *pro domo mea* a jednocześnie wyjaśniając pewną zasadniczą sprawę. Otóż najniesłuszniej zuboża Jerzy Braun zawartość poetyki (w przypisywanem mi pojęciu) czy też kryterjów estetycznych, do spraw zewnętrznej formy, w wypadku Norwida, do „szkolarskiego odmierzania metryki i cezury". Bo, choć wiedza tych rzeczy, odpowiednio potraktowana może nie być najpłytsza, gdyż płytszą od niej będzie frazeologja na wzniosłe tematy (także estetyczne), to jednak najzupełniej zgadzam się z Jerzym Braunem (jeszcze jeden punkt zgodności), że do tego nie sprowadza się nauka o literaturze, ani badanie „tajników poezji", że „uroki wiersza" są najbardziej powierzchownemi urokami poezji, że znacznie ważniejsze są dla jej zgłębienia badania nad stylistyką, kompozycją, tematyką. Czy to jest „dotychczas tabula rasa", odpowiedziećby można było dopiero po dokładnem zbadaniu rezultatów np. wspaniałego rozkwitu tych studjów w Rosji w ostatniem ćwierćwieczu. Niestety nie mogę zaprzeczyć J. Braunowi z żadną książką polską w ręku, ani tem mniej z moją własną. W każdym razie znający nieco moje rozrzucone po pismach artykuły i recenzje stwierdzą zgodnie z sumieniem, że nietylko szykanowaniem wiersza w nich się zajmowałem lecz, że stosowałem także analizę stylistyczną, a także w związku z tematyką, analizę „celowości" tych, czy innych środków poetyckich. A że akurat w swoim artykule o stosunku do Norwida mówię o rezultatach badań nad jego wierszem, to właśnie, żeby pokazać, iż nawet w tym małym, a najdostępniejszym, bo materjalnie poniekąd namacalnych zjawisk zakresie, nie zostało zrobione nic, coby zasługiwało na uwagę: co więc tu mówić o sprawach szerszych, trudniejszych i uświadamiam to sobie doskonale,—arcytrudnych. *K. W. Zawodziński*.

„Demiurg"

W kwietniu b. r. ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Demiurg", pod redakcją Włodzimierza Rostowita, — poprzedzony „prodromem", ulotką mającą charakter manifestu programowego. „Demiurg" głosi ideę „trzeciej cywilizacji", nowej epoki dziejów, której twórcami będą Słowianie, zrzeszeni w jedno imperjum i w jeden „nad - naród". Dla zorjentowania czytelników „Zetu" w ideologji i celach praktycznych tego czasopisma podajemy poniżej w streszczeniu „tezy demiurgicznego słowianizmu", oraz parę uwag krytycznych o tych założeniach.

I. *Tezy:* Pojęcie „demiurgizmu" jest analogją do platońskiego Demiurga, „twórcy świata, kształtującego materję podług systemu idej". Demiurgiem trzeciej cywilizacji Arjów europejskich mają być Słowianie. System demiurgicznego słowianizmu opiera się na założeniu wszechpotęgi rozumu, stanowiącego rzeczywistość podstawową człowieka i rozwijającego się od minimum aż do maksimum, który to rozwój stanowi treść dziejów. Ewolucja ta jest dwutorowa: teoretyczna i praktyczna; wyrazem pierwszej jest całkowita hierarchja systemów filozoficznych, drugiej zaś kolejno powstające cywilizacje. Pomiędzy porządkiem systemów filozoficznych a porządkiem następujących po sobie cywilizacyj panuje współzależność i współodpowiedniość. Dlatego głównemi narzędziami „demiurgicznego słowianizmu" są: filozofja historji filozofji, oraz filozofja dziejów. Z pierwszej wyprowadza „demiurgizm" tezę o upadku cywilizacji zachodnio - europejskiej, na podstawie analogji do uprzedniego upadku cywilizacji antycznej; mianowicie doświadczenie historyczne wykazało, że dekadencja filozofji starożytnej wiąże się ściśle z upadkiem opartej na niej cywilizacji grecko - rzymskiej, należy więc wnioskować, że współczesna dekadencja filozofji europejskiej zapowiada nieuchronny upadek tej drugiej z rzędu cywilizacji. Z drugiej, t. j. z filozofji dziejów, wyprowadza „demiurgizm" zasady i cele naczelne, oraz cechy charakterystyczne tych trzech cywilizacyj: antycznej, zachodnio - europejskiej, oraz przyszłej „trzeciej cywilizacji słowiańskiej". Zasadę cywilizacji antycznej stanowił kosmocentryzm; człowiek był tylko widzem poznającym i kontemplującym świat, celem praktycznym tej cywilizacji była więc zgodność człowieka z naturą. Zasadą cywilizacji chrześcijańskiej, zachodnio - europejskiej, był teocentryzm (i w pewnej mierze już homocentryzm); człowiek wyzwalał się tu z pod hegemonji natury zapomocą idei zaświata, przez co przechodził od immanencji natury do transcendencji ducha - rozumu, które to przejście stanowiło temsamem cel praktyczny tej cywilizacji. Wreszcie zasadą „trzeciej cywilizacji" ma być zupełny homocentryzm, wyzwalający człowieka od wszelkiej „heteronomji zaświatów", przez przezwyciężenie transcendencji ducha „mocą spełnionej rzeczywistości człowieka"; byłby to system syntezy hellenizmu i chrześcijańskiego średniowiecza, będący zarazem pełnym, ostatecznym systemem filozoficznym i pełną jego realizacją w ustroju polityczno - społecznym. Celem praktycznym tej cywilizacji byłoby kształtowanie świata materjalnego przez „demiurgiczną wolę tworzenia" podług świata idej, t. j. systemu prawd rozumowych, a przezto wolne tworzenie swej własnej rzeczywistości ludzkiej. Wzorzec trzeciej cywilizacji stanowi doktryna, jedynem zaś jej narzędziem praktycznem jest państwo. W państwie trzeciej cywilizacji pełnię praw (a więc prawa do dóbr politycznych i ekonomicznych) posiadają tylko obywatele uczestniczący w doktrynie i wykazujący „demiurgiczną wolę tworzenia".

II. *Uwagi krytyczne:* „Demiurgiczny słowianizm" nie jest jeszcze żadnym gotowym systemem filozoficznym, lecz tylko zbiorem tez mniej lub więcej luźnie naszkicowanych. Z tego powodu nie może on — jeżeli nie chce wszczynać płytkiego ruchu politycznego, jakiegoś swoistego rasizmu — występować na widownię publiczną, zanim nie wykaże się takim pełnym, opracowanym systemem, poddającym się wszechstronnej penetracji poznawczego rozumu. Na podstawie niniejszych tez stwierdzić można, że błędem podstawowym „demiurgicznego słowianizmu" jest odrzucenie heteronomji zaświatów t. j. schłonięcie transcendencji przez immanencję. Schłonięcie takie jest niedopuszczalne, dopóki człowiek nie rozwinie w sobie absolutnego rozumu, powoduje ono bowiem ograniczenie rzeczywistości ludzkiej do sfery życia doczesnego, negując problemat nieśmiertelności osobowej w życiu pozagrobowem.

Następstwem takiej zasady musi być metafizyczny ateizm, co widzimy już w całkowitem pominięciu Kościoła: „demiurgizm" uznaje tylko równanie: filozofja = Państwo, a gdzież jest jego korelat: religja = Kościół? O ileż wyżej sięga tu filozofja absolutna Hoene - Wrońskiego, przyjmując obydwie te rzeczywistości (immanentną i transcendentną, doczesną i wieczną) i harmonizując je w trzeciem równaniu: mesjanizm = Unja Absolutna. Teorja upadku cywilizacji zachodnio - europejskiej, oraz konstrukcji nowej cywilizacji słowiańskiej rozwinięta jest całkowicie w doktrynie mesjanicznej (patrz: „ruine de l'Occident" i powstanie „l'Empire d'Orient", oraz przeciwstawienie „l'ancien monde civilisé",i „le nouveau monde eclairé w „Cent Pages" i w in. dziełach), pocóż więc odtwarzać ją na nowo po swojemu? Historjozofja „demiurgizmu" jest właściwie analogonem triady djalektycznej dziejów u Cieszkowskiego (hellenizm — chrystjanizm — słowianizm), znowuż więc nie dorównuje absolutnej filozofji historji w doktrynie mesjanicznej (Prawo Postępu).

Układ progresywny trzech cywilizacyj w „Demiurgu" jest więc o tyle niewystarczający w stosunku do układu trzech er i siedmiu epok historycznych w historjozofji mesjanicznej, o ile nie wystarczającą jest heglowska metoda djalektyczna (nawet skorygowana przez Cieszkowskiego, w zastosowaniu do filozofji dziejów) w stosunku do metody genetycznej Wrońskiego, tembardziej zaś w stosunku do jego metody absolutnej: Prawa Stworzenia, którego technię stanowi Prawo Postępu. Wzajemność i współodpowiedniość równania: filozofja historji filozofji = filozofja dziejów — jest również wyprowadzona w doktrynie mesjanicznej, na co zwraca uwagę Francis Warrain, uwzględniając ten aspekt w planie zbiorowego wydania. Co do tezy o wszechpotędze rozumu, to nie jest ona w „Demiurgu" uzasadniona a priori, przez co nabiera niestety cech dogmatycznych. Uzasadnienie to zaś nie jest możliwe inaczej, jak przez wielką rewolucję epistemologiczną; tej dokonała właśnie filozofja absolutna, udowadniając funkcję twórczą wiedzy i dając przez to równanie: rozum absolutny = rozum stwórczy (wiedza w samej sobie; patrz „Filozofja achrematyczna") = Słowo czyste. Przez tę absolutyzację Logosu chrześcijańskiego i przez ideę naczelną Słowa w Człowieku, mesjanizm założył już fundamenty pod trzecią erę historji (co znajduje potwierdzenie w definicji tej ery absolutnej: Era Człowieka czyli Rozumu). Ośrodkiem słowianizmu mesjanicznego jest więc Chrystus — Rozum absolutny — Słowo; natomiast słowianizm demiurgiczny przeciwstawia tej idei stwórczego rozumu, w pełni ugruntowanej na Wrońskiego filozofji achrematycznej (Słowo = Savoir en soi même), ideę platońską rozumu (= Demiurga), conajwyżej ugruntowaną na niewystarczającej heglowskiej filozofji ducha absolutnego (przez co popada nieuchronnie w błąd przedwczesnej autonomizacji ludzkiego rozumu). Problemat osiągnięcia pełni rzeczywistości przez rozum ludzki jest znowuż tylko niedostatecznie zracjonalizowanym, t. j. mglisto postawionym problematem autokreacji, samostworzenia. Konkluzja: pocóż zdwajać to, co już stanowi pełny, zaspakajający się w sobie i zadowalający zarazem najwyższe aspiracje rozumu, system wiedzy, pocóż szukać — poza nim — innej bazy dla nowej, słowiańskiej ery dziejów.

Nota. Fatalnem pośliźnięciem byłaby kontynuacja niefortunnego pomysłu p. Piotrowskiego w jego art. „Wieczny Człowiek i Trzecia Cywilizacja". Samo wymienianie nazwiska Towiańskiego, chorążego najdzikszych, i irracjonalnych bzdur mistycznych, obok tez o wszechpotędze rozumu, było niedopuszczalne zarówno z teoretycznego, jak i z taktycznego punktu widzenia. Sądzić należy, że było to tylko niedopatrzenie redakcji.

List do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.

Liczne polemiki toczone na łamach „Zetu" były zawsze wzorem lojalności względem przeciwników, poważnego uzasadnienia wypowiadanych zarzutów i nieużywania w walce, t. zw. „skrytych ciosów". Sam miałem sposobność stwierdzić na sobie wysoki poziom polemiczny „Zetu", gdy zostałem przed niedawnym czasem zaszczycony przez Szanownego Pana obszernym artykułem (w n-rze 21 z dn. 1 lutego), skierowanym przeciw moim poglądom na norwidologję. W swojej odpowiedzi, którą przy niniejszem załączam, starałem się zachować ten sam ton lojalności względem przeciwnika i powagi.

Dlatego też byłem przykro zdziwiony znalazłszy w recenzji „Ogrodu słowiczego" (n-rze 24 z dn. 15 marca) następujące zdanie: „Prawdy tej (t. j. że K. A. Jaworski jest predestynowany na tłumacza rosyjskiej poezji) nie obalają ani niepogłębione ataki „Żagarów" ani podejrzane pochwały K. W. Zawodzińskiego w „Drodze".

Dlaczego „podejrzane" i dlaczego mają „obalać", podczas, gdy nie zawierają nic prócz szczegółowo uzasadnionego uznania („na najwyższym poziomie") i życzliwego zainteresowania, tego recenzent, p. Henryk Zasławski nie wyjaśnia. Ktoś złośliwy mógłby przypuścić, że p. H. Zasławski stara się umniejszyć te pochwały dlatego, iż sam został pochwalony przeze mnie jako tłumacz nieco krótszemi i mniej entuzjastycznemi słowami oraz, że została mu wytknięta pewna omyłka transkrypcji, czy erudycji. Mam nadzieję, że Sz. Pan Redaktor zechce wytłumaczyć swemu młodemu współpracownikowi, jak czasem małe słówko może ujawnić duże wady charakteru wypowiadającego. Łączę wyrazy wysokiego poważania. *K. W. Zawodziński.*

Zabobon odgrzewany

(Refleksje na tle artykułu Jerzego Konorskiego i Stefana Millera „Fizjologja czy psychologja", drukowanego w Wiadomościach Literackich z dnia 17-go grudnia 1933 r.).

Artykuł ten poucza nas, że oficjalna nauka nie wyleczyła się jeszcze z zabobonów 19-go wieku, wyrosłych na podłożu hipotezy atomistycznej. Zabobony, jak wiadomo, zakorzeniają się głęboko w podświadomych pokładach duszy i wyrastają jak chwasty, niezależnie od tego, co zostało zasiane w górnych pokładach świadomości.

Tak więc, szkoła fizjologów z pod znaku I. P. Pawłowa, wyobraża sobie naiwnie, że badając budowę przyrządów zmysłowych, badając budowę zakończeń włókien nerwowych, badając drogi, po których płynie to, co powstaje w żywej materji fizycznej pod wpływem zewnętrznych bodźców — badając centra rdzenia kręgowego i kory mózgowej — odsłaniamy treść wewnętrznego naszego życia i wyjaśnimy z czasem wszystkie przejawy dziania się psychicznego. Fizjologowie tego pokroju nie widzą żadnej potrzeby wprowadzania do nauki pojęć tego rodzaju, jak „wola, uczucie, czy myśl", ponieważ, jak mówią, mogą prześledzić cały proces od podniety począwszy aż do wykonanego odruchu, czy ruchu — i nigdzie nie spotykają czegoś takiego, coby przypominało t. zw. zjawisko psychiczne. Naiwność takiego stanowiska wydaje mi się tak rozbrajająca, że posiada pewien urok swoisty, właściwy wszelkiej naiwności. Toteż nie dziwię się, że taka teorja budzi zapał, nieostudzony żadną komplikacją, żadnem wahaniem. Ten zapał jest niewątpliwie siłą niezmiernie cenną, ponieważ staje się źródłem szczerych wysiłków; a każdy szczery wysiłek prowadzi zawsze do jakiegoś rezultatu. Toteż niewątpię, że badacze owiani taką prostą wiarą, jakoby wystarczał dobry skalpel i dobry mikroskop, aby „wypatrzeć" tajemnice duszy — nie wątpię, że badacze tak uparci w swojej naiwnej wierze, przyniosą wiedzy bardzo cenne zdobycze i odsłonią niejedną tajemnicę; ale równocześnie mogą być bardzo niebezpieczni, bo są krzewicielami fanatyzmu. Każdy fanatyzm polega na jednostronnem zacietrzewieniu, na skrajnem upraszczaniu nieskończenie bogatej treści rzeczywistości i w tem zacietrzewieniu czerpie swoją siłę, która staje się równocześnie w końcu jego klęską.

Tak więc, skrajnie materjalistyczne ujęcie zjawisk psychicznych, reprezentowane przez szkołę I. P. Pawłowa, jest kierunkiem, który przyniósł i przyniesie niewątpliwie bardzo realne zdobycze naukowe — i dlatego nienależałoby się tym ludziom przeciwstawiać. Jak długo fanatyzm taki ogarnia i podnieca samego badacza, tak długo ma on swoją dodatnią stronę — ale nie jest dobrze, gdy ten fanatyzm zaczyna się szerzyć wśród szerszych warstw inteligencji. Wtedy bowiem żadne naukowe korzyści nie równoważą zła, jakie tkwi w samej istocie każdego fanatyzmu.

Skoro tedy takie pojęcia zostają spopularyzowane, zatruwają w sposób bardzo szkodliwy atmosferę życia intelektualnego i mogą się stać źródłem szkód nieobliczalnych. Toteż, zabobony te należy zwalczać jaknajenergiczniej, gdy tylko się wynurzają poza obręb pracowni naukowej.

Aby unaocznić naiwność takiego poglądu, najwłaściwiej byłoby wskazać na poglądy, panujące w innych działach nauk przyrodniczych i zestawić zasadnicze sprzeczności, jakie się przy tem wyłaniają. Przedewszystkiem wchodzą tu w grę poglądy nowoczesnej fizyki. Wprawdzie człowiekowi niepracującemu w tej dziedzinie fachowo, niepodobna jest przedrzeć się przez labirynty dzisiejszych teoryj, dotyczących budowy atomów i energji promienistej, ale z książek dobrych popularyzatorów można zrozumieć ogólny kierunek myśli naukowej w tej dziedzinie. Otóż, kierunek ten okazuje się djametralnie przeciwny temu, jaki panował w fizyce 19-go wieku i jaki reprezentuje szkoła I. P. Pawłowa w fizjologji.

Pawłow bada pod mikroskopem komórki organiczne — bada materję — i wyobraża sobie, że działaniami fizycznemi, czy chemicznemi, zachodzącemi w tej materji, wyjaśnia procesy wyrażające się stanami psychicznemi — a więc: uczuciem, wolą i myślą. Tymczasem, fizyka zdematerjalizowała materję i, badając rezultat tej dematerjalizacji, t. j. energję promienistą, doszła wreszcie do wniosku, że w tej energji niema właściwie żadnej rzeczywistości czasowo przestrzennej. Na zapytanie, co w takim razie stanowi ostateczną treść wszelkiej rzeczywistości fizycznej, odpowiada w imieniu dzisiejszej nauki Jeans, że „Treść tę stanowią formuły matematyczne, pod któremi niczego nienależy sobie wyobrażać". Oznacza to, jak stwierdza dobitnie tenże uczony, że „ostateczną rzeczywistością jest sama myśl — a zatem, fizyka wykonała niejako obrót o 180° i przyjęła stanowisko djametralnie przeciwne poprzedniemu. Gdy bowiem w 19-ym wieku myśl była rezultatem pewnej kombinacji atomów, to obecnie atom jest rezultatem pewnej kombinacji myślowej. Nie twierdzę zgoła, aby tego rodzaju ujęcie było przekonywujące, ale pragnę z największym naciskiem wskazać na to, że koncepcja, o której mowa, nie powstała jako kaprys wybujałej fantazji ale, że się zrodziła pod przemożnym naciskiem konkretnych faktów. Konkretne fakty zmusiły fizyków do porzucenia wygodnej hipotezy mechaniki atomowej; konkretne fakty zapędziły ich na chwiejny teren spekulacji abstrakcyjnej.

I oto jesteśmy naocznymi świadkami tego, jak buduje się wieża Babel; jesteśmy świadkami, jak jedni ludzie wznoszą coraz wyżej mury na fundamentach, które inni równie gorączkowo rozsadzają. Kiedy fizyk w jednej pracowni eksperymentalnej ogłasza materję za przejaw zasady organizacyjnej — zasady myślowej — to kolega jego, fizjolog, w sąsiedniej pracowni eksperymentalnej ogłasza myśl za przejaw substancji materjalnej. Jest rzeczą jasną, że fizyk pracuje w zakresie zjawisk najbardziej podstawowych, że miał on czas i możność ująć te zjawiska w stopniu znacznie pełniejszym niż fizjolog — że jednem słowem, fizjologja obowiązana jest niewątpliwie opierać się na zdobyczach fizyki, a nie odwrotnie.

Tak więc, najradykalniejsze antidotum na zabobon, o którym mowa, znaleźć można w nowoczesnej myśli naukowej. Fizyka stanowiąca niezaprzeczenie podstawę dla wszelkiej wiedzy o świecie zewnętrznym, rozporządza ogromną ilością faktów, sprzecznych ze stanowiskiem reprezentowanem przez szkołę I. P. Pawłowa. I dlatego teorje, na których opiera swoje wnioski ten uczony, nie są niebezpieczne dla samej nauki — stają się one niebezpieczne dopiero wtedy, gdy w formie popularnej przenikają do szerokich warstw inteligencji i wprowadzają zamęt w pojęciach, oraz wypaczenie poczucia rzeczywistości — t. j. wypaczenie tego poczucia, na którem buduje się całe życie jednostek i społeczeństw.

Aby silniej jeszcze uzmysłowić naiwność stanowiska fizjologów z pod znaku I. P. Pawłowa, spróbuję posłużyć się prostem porównaniem. Ich dociekania anatomiczne w obrębie układu nerwowego można porównać z dociekaniami, jakieby robił np. jakiś kowal z przed stu lat, gdyby go wprowadzono do nowoczesnej elektrowni. Zobaczyłby on maszynę parową — a więc, węgiel, wodę, stalowe tłoki poruszane przez parę — i powiedziałby, że wszystko to rozumie; zobaczyłby dalej koła, pasy, druty i inne przedmioty wykonane z metalu, szkła, marmuru — i powiedziałby, że nie orjentuje się dokładnie w znaczeniu każdej części, ale stwierdza stanowczo, że wszystkie te części wykonane są ze znanych mu materjałów i funkcjonują podług znanych mu praw mechaniki — że zatem, niema żadnego sensu mówić tu o istnieniu jakiejś elektryczności.

Przy świetle jasnej żarówki umie ten kowal dobrze rozpoznać każdy element; widzi węgiel, wodę, parę, żelazo i t. p., ale nie widzi nigdzie żadnej elektryczności. Czuje się on w prawie wypowiedzieć apodyktyczny sąd, że w elektrowni niema żadnej elektryczności. Najdziwniejszym jest przytem ten fakt, że ów kowal przeprowadza te swoje badania właśnie przy świetle żarówki, która jest bezpośrednią manifestacją tej, rzekomo nieistniejącej elektryczności.

Porównanie to jest oczywiście tylko porównaniem, ale zdaje mi się, że uzmysławia dobrze naiwność tego rodzaju ujęcia. Wydawałoby się, że skoro fizjolog stwierdza istnienie bezgranicznie skomplikowanego aparatu nerwowego — i równocześnie w swojem wnętrzu przeżywa bezgranicznie skomplikowane procesy psychiczne, to powinien dojść do prostego wniosku, że aparat fizyczny, który bada, powstał jedynie poto, aby umożliwić przeżywanie procesów psychicznych w ciele fizycznem. Tak jak elektrownia jest właśnie widomym dowodem istnienia elektryczności, której oczami nie postrzegamy — tak też aparat nerwowy jest dowodem istnienia procesów psychicznych. Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że same te procesy nie dadzą się ująć fizycznie właśnie dlatego, że nie są procesami fizycznemi i dokonują się tylko na podłożu procesów fizycznych. Wszakże zjawiska elektryczne nie dadzą się również ująć w postaci mechaniki ruchu ciał stałych, płynnych, czy lotnych, ponieważ właśnie nie są ruchem mechanicznym tych ciał — ale niemniej powstają na podłożu tych ruchów mechanicznych.

Na zakończenie pragnę jeszcze uprzedzić pewien zarzut, z którym spotykają się stale rozważania tego rodzaju. Fizjolog może mianowicie powiedzieć, że są to tylko bezwartościowe zarzuty dyletanta, nieznającego ani fizjologji, ani fizyki. Otóż, należy dobrze zrozumieć, że dyletantowi niewolno wypowiadać sądów o faktach, na jakich opiera się dana wiedza specjalna. Niewolno mu tedy zaprzeczać istnienia takich lub innych włókien nerwowych, takich lub innych centrów i t. p. — ale z chwilą, gdy specjalista zaczyna z faktów przez siebie stwierdzonych wyprowadzać wnioski ogólne, z tą chwilą przestaje mówić jako specjalista i mówi jako człowiek równy każdemu innemu człowiekowi. W ogólnych problemach, dotyczących samej istoty rzeczywistości, fachowcem byłby właściwie tylko filozof, gdyby rozporządzał teorją poznania, w pełni ugruntowaną na sobie samej.

Ponieważ jednak teorji poznania, uznanej powszechnie nie posiadamy jeszcze, przeto wszelkie poznanie dokonuje się dotychczas właściwie zupełnie „na dziko". O wartości poznania decyduje zatem nie fachowość, ale wyłącznie „poczucie rzeczywistości". Takie poczucie może mieć każdy człowiek, bo każdy przez całe życie tkwi ciągle w rzeczywistości. Specjaliści nie są pod tym względem uprzywilejowani. Możnaby nawet powiedzieć, że są oni poniekąd w gorszem położeniu, ponieważ często ograniczają swoje zainteresowania do pewnego tylko kompleksu zjawisk i przez to łatwiej mogą ulec zacieśnieniu niż ci, którzy nie mają wyraźnej specjalności. Na tem polega zasada t. zw. „chłopskiego rozumu".

Nie myślę obniżać wartości tej części społeczeństwa, którą nazywamy „inteligencją". Pracy tej warstwy właśnie zawdzięcza ludzkość ogromne zdobycze kulturalne — ale dobrze jest, aby ludzie, należący do tej kategorji pracowników, zdali sobie sprawę z niebezpieczeństw, związanych z każdą specjalizacją i umieli rozumieć znaczenie tej dziwnej władzy podstawowej, którą określamy jako: poczucie rzeczywistości — poczucie zdrowego sensu — albo „chłopski rozum". Nauka dostarcza człowiekowi faktów, ale właściwe powiązanie tych faktów dokonuje się tylko na podstawie poczucia rzeczywistości. Ci zaś, którym niedogadza stanowisko, uznające poczucie za podstawę poznania, niech pamiętają o tem, że logika, na której się wszyscy opierać musimy, ugruntowana jest ostatecznie także tylko na poczuciu.

Karol Homolacs.

Przerost czy niedorost ubezpieczeń społecznych

Zabierając głos w dyskusji, która rozwinęła się ostatnio w pismach na temat poruszony pod powyższym tytułem, pragnę przedewszystkiem uniknąć tego złośliwego tonu, który niestety u nas rozpowszechnił się w polemikach dziennikarskich nawet w wypadkach kiedy się wie, że osoby wypowiadające zdania przeciwne, działają w najszczerszej intencji wyjaśnienia sprawy. Starać się będę zatem odpowiedzieć na postawione pytanie tak jak mi dyktuje własne sumienie, unikając wszelkiej polemiki z kimkolwiek, kto w tej sprawie głos zabrał.

Otóż sam tytuł artykułu dyskusyjnego wskazuje, że zagadnienie zostało ujęte w sposób niewłaściwy. W tak postawionem pytaniu została już z góry zadecydowana kwestja użyteczności ubezpieczeń społecznych w znaczeniu pozytywnem, a od ogółu czytelników wymaga się wyjaśnienia, dlaczego instytucje tak doskonałe i użyteczne, w praktyce nie odpowiedziały spodziewanym nadziejom. Tymczasem żaden z czytelników nie ma podstaw do przypuszczenia, aby instytucje pozostające pod ścisłą kontrolą państwową, były administrowane nieuczciwie. Nie można ich przeto posądzać o złą wolę, skoro omijając pytanie, na które odpowiedzieć nie mogą, zajmują się przeważnie kwestją celowości samych instytucyj ubezpieczeń społecznych. Jeżeli ze statystyki urzędowej wiadomo, że społeczeństwo w ciągu niespełna lat dziewięciu złożyło na cele ubezpieczeń społecznych około *pięć miljardów złotych*, to chyba interesowani, których przymuszono złożyć taką sumę, mają prawo zapytać, co się z tak olbrzymim kapitałem stało. Wszak kapitał ten nawet przy niskiem oprocentowaniu w bankach (np. 3%) przyniósłby rocznie w odsetkach około 150,000,000 złotych, bez potrzeby naruszania sumy kapitałowej, któraby tymczasem zasiliła w sposób wydatny chylące się ku upadkowi warsztaty pracy, zapobiegając tem samem bezrobociu. Wiemy jednak z całą pewnością, że kapitał ten nie istnieje, a ubezpieczalnie pozbawione wkładek bieżących zawiesiłyby natychmiast całą swą działalność. Co gorsza, domagają się one zwiększenia wkładek, zmniejszenia świadczeń i nie dają żadnej gwarancji, że z takim mozołem zdobyte fundusze nie będą znów zmarnowane.

Wobec takich wyników działalności ubezpieczeniowej staje się zgoła nieaktualnem pytanie postawione na wstępie, domaga się natomiast stanowczej i jasnej odpowiedzi pytanie, jak długo można jeszcze ten absurdalny stan rzeczy tolerować. Rzecz wszechstronnie wyjaśnić jest obowiązkiem każdego uczciwego obywatela i w spełnieniu tego obowiązku kreślę poniższe słowa.

Myślą przewodnią każdego ubezpieczenia jest nadzieja, że za nieproporcjonalnie niską wkładkę ubezpieczeniową ubezpieczony otrzyma sumę wystarczającą na pokrycie niespodziewanej straty. Z tą myślą też zakładano już dawno instytucje ubezpieczające na wypadek śmierci, kalectwa, pożaru, gradobicia i t. p., nawet na wypadek kradzieży. Ubezpieczony ponosił tu chętnie ryzyko utraty wszystkich wkładek w wypadku, gdyby zdarzenie przewidywane nie nastąpiło wcale lub nastąpiło za późno, a zakład ubezpieczeniowy, reprezentujący właściwie ogół wszystkich ubezpieczonych ponosił ryzyko straty na wypadek jeśli przypuszczane zdarzenie nastąpiło wcześniej nim ubezpieczony zdołał złożyć wystarczającą na pokrycie strat sumę. Zabezpieczeniem przeciw niewypłacalności zakładu był zwykły rachunek prawdopodobieństwa t. j. rachunek, który nie daje wprawdzie absolutnej pewności, lecz zawiera w sobie jedynie wysoki stopień prawdopodobieństwa. Pewność tę zwiększano przez uchylenie odpowiedzialności zakładu w wypadkach niebezpieczeństw szczególnych jak n. p. wojny, nie mówiąc o wypadkach umyślnego działania ubezpieczonego n. p. samobójstwa lub samookaleczenia.

Z punktu widzenia obowiązujących powszechnie ustaw umowa ubezpieczeniowa, mająca wybitny charakter umowy losowej, miała wyłącznie na celu zwrot szkody poniesionej przez zrządzenie losu, za którą to szkodę ubezpieczony *nikogo do odpowiedzialności prawnej pociągnąć nie mógł*. Tę szkodę zobowiązywał się zwrócić mu ogół ubezpieczonych, godząc się dobrowolnie ponieść skromną ofiarę dla ratowania egzystencji bliźniego, który inaczej stawał się niewinną ofiarą losu.

Zupełnie inny charakter mają pretensje wszystkich bez wyjątku pracowników z tytułu świadczeń należnych im słusznie za ich pracę. Kto pracę swą ofiarował dla dobra ogółu lub jednostek, które z jego pracy korzystają, ten nabywa słuszne prawo nie tylko do wynagrodzenia za wykonaną pracę, ale także do zaopatrzenia na wypadek częściowej lub całkowitej niezdolności do pracy, spowodowanej wypadkiem, chorobą lub starością, zaspokojenie zaś tego słusznego roszczenia jest prawdziwą powinnością każdego pracodawcy i tylko pracodawcy. Na tem też stanowisku stoją wszystkie ustawodawstwa od czasów najdawniejszych oparte na bezwzględnem i powszechnie obowiązującem wszystkich bez wyjątku ludzi prawie moralnem.

Zachodzi teraz uzasadnione pytanie, jaki motyw skłonił rzekomych trybunów ludu zrównać te słuszne pretensje pracowników do ściśle określonych osób z wątpliwemi pretensjami odszkodowawczemi do ślepego losu? Kto ich upoważnił do tego, aby z ciężko zapracowanych wynagrodzeń pracowników urywali część niezbędną nieraz na wyżywienie dzieci i przekazywali ją do dyspozycji instytucji, której dano prawo pobrane niesłusznie sumy traktować na równi z wkładkami losowemi? Kto im pozwolił zwalniać pracodawców od obowiązków uzasadnionych nakazem moralnym i obowiązek ten przerzucać na instytucje niezdolne wywiązać się ze swoich zadań?

Niech na te pytania odpowiedzą ci, co przypuszczają, że broniąc instytucji ubezpieczeń społecznych czynią to przez współczucie z rzeszami pracowników, a ludzi zwalczających te instytucje posądzają o brak tego współczucia.

Dr. Tadeusz Rozwoda.

Wronskiana

Towarzystwo Hoene - Wrońskiego w Warszawie na dorocznem walnem zebraniu mianowało swymi honorowymi członkami cudzoziemców: 1) Franciszka Warrain'a, francuskiego filozofa, autora licznych dzieł z zakresu filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego, 2) Ernesta Britta, belgijskiego kompozytora i muzykologa, za jego rozprawy z zakresu filozofji muzyki Wrońskiego, oraz za podjęcie własnym sumptem zbiorowego wydania dzieł naszego myśliciela, 3) Godofredo Garcia, profesora uniwersytetu w Lima (Peru), autora prac z dziedziny mechaniki niebios Hoene-Wrońskiego.

Jako jedna z „Prac T-wa Hoene-Wrońskiego" ukazał się nowy przekład Wrońskiego „Propedeutyki" (dawniejszy przekład J. Jankowskiego jest w handlu wyczerpany). Dziełko to, szczupłe rozmiarami, niezmiernie jest ważne dla poznania doktryny Wrońskiego, gdyż podaje, w sposób dydaktyczny, wszystkie jej zasady przedwstępne. Przekładu dokonał Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (skł. gł. Dom Książki Polskiej).

Książki i czasopisma nadesłane

Zbigniew Folejewski: Dom w Gorcach. Poezje. Słowo wstępne Kazimierza Czachowskiego. Wilno 1934. Nakł. Ludwika Chomińskiego. Str. 23.

Jerzego Wolkera: Wiersze wybrane. Tłumaczył Adolf Fierla. Praha 1934. Vaclav Petr. Str. 29.

Henryk Ptak: Kraków — moje miasto. Część II. Poezje z roku 1933 - 1934. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Str. 88.

Nowa Książka. (Miesięcznik nr. 1 r. 1). A. Brückner: Krytyka i krytycy; Dział sprawozdawczy (A. Lewak, R. Świętochowski, B. Olszewicz, A. Brückner, Jan St. Bystroń, Paweł Hulka Laskowski, St. Kołaczkowski, Wiktor Hahn, K. Lewicki, Tad. Sinko, J. Kostrzewski, Bron. Pawłowski, Stef. Inglot, Kaz. Króliński, J. Szeruda, Stef. Rygiel, B. Suchodolski, J. Grabowski, Z. Stankiewicz, St. Dzikowski, J. Lorentowicz, Franc. Siedlecki, Oton Czuruk). Kronika; Bibljografja; Prasa.

Bunt Młodych, nr. 7 (56) Aleksander Bocheński: Podkreślenia i niedomówienia Ryszarda Piestrzyńskiego; Janusz T. Dybowski: „Wici"; Ksawery Pruszyński: Bunt świata pokątnych; Miecz. Pruszyński: Polityka wojewody Grażyńskiego; Jan Frankowski: Katolicyzm w Polsce współczesnej; Przegląd prasy; Niedyskrecje gospodarcze; Niewdzięczni żydzi i wzgardzony Mesjasz.

Przegląd Współczesny (kwiecień 1934) Wład. Chodasewicz: Iwan Bunin; André Goupil - Vardon: Tajemnica poezji czystej; Józef Feldman: Stanisław Leszczyński; Adam Bochnak: Nieznany fragment poematu Adama Mickiewicza: Michał Janik: Zesłanie Jakóba Szeli na Bukowinę; J. Marszewska - Ziemięcka: Historja rozwoju rolnictwa W. Brytanji i jego kryzys dzisiejszy; Roman Dyboski: Angielska książka o Paderewskim: Witold Bronowski: Kryzys systemu politycznego we Francji; Luwik Chmaj: Odrodzenie heglizmu w Niemczech; Stan. Wędkiewicz: Ludwik Barthou.

Gazeta Literacka (maj 1934) Symbolika doktryny mesjanicznej; Adam Stawarski: Źródło żywota wiecznego (w stulecie Pana Tadeusza); Shakespeare: Dziwy sobótkowej nocy (przeł. Józef Birkenmajer); Adam Bunsch: Kawalerja na tyłach, Pierwszy trup (nowele); poezje Michała Pawlikowskiego i Stanisława Czernika; Kolumna poezji angielskiej: Owen Meredith hon. Robert Lytton — Irena (fragment — przeł. Cz. Jastrzębiec Kozłowski), Hazel N. Price — Radość lata — Troska (przeł. Wiesław Gorecki); Wiesław Gorecki: Czy opera jest przeżytkiem; Zygm. Leśnodorski: Teatr i szkoła; Teatr krakowski; Poezje; Książki; Kronika.

Die neue Weltbühne (r. III nr. 18) H. Budzislawski: Sovjets im Völkerbund; J. Halperin: Blick auf Europa; Heinz Pol: Auflösung der SA? H. Mann: Hereingefallne Jugend; G. Hamilton: Aufstand in Fukien; R. Heilbronn: Hochkonjunktur für Heiden; A. Zweig: Die Jüdin.

Głos (r. IV nr. 8) M. S.: Naród wytwórców; Jan Bielatowicz: Jan Ludwik Popławski; Harce uzurpatorów; dr. M. Chełmikowski: Sylwetka człowieka i uczonego; Wywiad z prof. dr. E. Taylorem; Michał Pawlikowski: Kultura narodowa; Marjan Łepkowski: W 75-lecie „Halki"; Wł. Skoczylas; T. Rec: Szukalszczyków szczep; T. Rec.: St. Raczyński; Remigjusz Ney: Szczególna poezja; Jan Bielatowicz: Pomnikowe dzieło.

Poesie (kwartalnik poetycki — r. II nr. 3 - 4) Jan Strakosz: Za Henri Bremondem; Alb. Thibaudet: Henri Bremond w dejinach francouzské kritiky; Suzanne Renaud: Poésies; Adolf Fierla: Szkice z podróży po Czechach; Kaz. Iłłakowiczówna: Moje wilenské detstvi; Otto Forst de Battaglia: Lyricka poesie polska 1933 - 34; Arturo Uslar Petri: Bludiczka; Alfonso Reyes: Cikanska pisen na oslavu Panny Marie; V. G. Calderon: Bylo to w Peru, Jorge Guillen: Basne; Ramón Gómez de la Serna: Greguerias; Antoni Madej: Johanka z Arcu; Bronisława Ostrowska: Basne; M. Kuzmin: Z dopisu divky; Reiner Maria Rilke: Sonety Orfeovi; Léo Larguier: Poznamky o poesii: Zdenek Vavrzik: Jaro 1933; Zdenek Szmid: Klicz; Vaclav Rencz; Tanecznice w trave; Bohuslav Revnek: Basne: Milosz Holas: Trojhlasny Krziż; Jaroslav Zavada: Konec cesty; Marie Glabaznova: Basne; Jaroslav Zavadil: Basne; Jaroslav Motyczka: Rondely na odchodnou; Zdenek Szmid: Skuteczny Verlaine; Jar. Zavada: Slovantvi a evropanstvi.

Biuletyn polsko - ukraiński (r. III nr. 18). Pomiędzy antysemityzmem a ukrainofobstwem endecji; „Dnister"; K. Symonolewicz junj.: Bocaccio w roli Tacyta; List do redakcji w sprawie art. „Dwie odpowiedzi"; Porzućmy bałamuctwa; „Zmowa", emigracyjne pismo poświęcone porozumieniu polsko - ukraińsko - litewskiemu.

Bunt Młodych (r. V nr. 8). Ksawery Pruszyński: Rozkłady jednych, nawroty drugich; Rocznica kijowska; Miecz. Pruszyński: Śląsk zasypuje okopy (2); Ad. M. Bocheński: Wyprawa kijowska lekcją polityczną; I. Reisler: Cicha i głośna prawda sądownictwa; Niedyskrecje gospodarcze; Fr. Czerwiński: Przegląd prasy.

L'Europa orientale (r. XIV nr. 3 - 4) E. Skrzynska: Le colonie genovesi in Crimea; Ettore Lo Gatto: Sulla situazione politica nell'U. R. S. S.; Tom. Landolfi: Contributi ad uno studio della poezia di Anna Ahmatowa; Anna Maria Colombo: Vita e opere di Ion Luca Caragiale (c); La situazione dell'Europa Orientale al 1-o marzo 1934.

Sygnały (kwiecień 1934) Dziwactwa i zdobycze; Halina Górska: Na granicy rzeczywistości (wyjątek z powieści); Z. Andrzej Kruczkowski: Vice - prezes honorowy; Jarosław Lewicki: U plastyków lwowskich; Daszyński — Brzozowski — Niemojewski w sprawie niepodległości Polski (zebrał Karol Kuryluk); Ukraińcy o „Sygnałach"; poezje Stanisława Rogowskiego, Aleks. Baumgardtena i Tadeusza Holendra.

Czesław Janczarski: Imię na korze. Poezje. Warszawa 1934. Skł. gł. Dom Książki polskiej. Str. 18.

Jerzy Mieczysław Rytard: Dalekie spojrzenie. Warszawa 1934. Wydawnictwo „Droga". Str. 124.

Cyprjan Norwid: Miłość - czysta u kąpieli morskich. Komedja. Z autografu wydał Z. Przesmycki. Bibljoteka dramatyczna „Drogi" nr. 6. Warszawa 1934. Str. 34.

Polonica

Broszurę p .t. „Zagadnienie żydowskie" wydał (Skł. gł. w Księgarni Krakowskiej — Kraków 1934) Władysław Dobrowiest. Autor kilkakrotnie powołuje się na Wrońskiego, a w związku z tem, również na Jerzego Brauna.

Studjum o Feliksie Stanisławie Jasińskim, malarzu polskim, który osiągnął w Paryżu duże uznanie zarówno oryginalnemi pracami, jak miedziorytami — kopjami dzieł wielkich mistrzów — wydał w języku francuskim Leopold Wellisz (G. Van Oest). Studjum uzupełniają ciekawe rozważania czysto technicznych zagadnień pióra Tadeusza Cieślewskiego jun. Książkę zdobi 47 reprodukcyj.

„Sprawa polska w roku 1848" — oto tytuł studjum pióra Józefa Feldmana, wydanego nakładem Akademji Umiejętności w Krakowie.

Eugenjusz Żytomirski wydał tom wierszy pt. „Bez w samolocie". Poezje te ukazały się jako 3-ci tom Bibljoteki „Kadry".

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.